

POWRÓT SMOKÓW

KSIĘGA I KRÓLOWIE I CZARNOKSIEŻNICY



MORGAN RICE

Morgan Rice
Powrót Smoków
Серия «Крólowie I
Czarnoksiężnicy», книга 1

*http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=43696207
Powrót Smoków (Królowie i Czarnoksiężnicy—Część 1):
ISBN 9781632913104*

Аннотация

Dobra wiadomość dla wszystkich, którzy po przeczytaniu całej serii Kręgu Czarnoksiężnika wciąż pragną więcej. Powrót Smoków Morgan Rice to zapowiedź kolejnej genialnej serii fantasy, która zabierze nas w podróż do świata trolli i smoków, męstwa, honoru, odwagi, magii i wiary w swoje przeznaczenie. Morgan po raz kolejny udało się stworzyć nietuzinkowych bohaterów, których dopingujemy na każdej stronie książki.. Obowiązkowa pozycja w bibliotece każdego miłośnika gatunku fantasy. –Books and Movie Reviews, Roberto MattosBestseller! Morgan Rice, jedna z najpopularniejszych autorek powieści dla młodzieży, przedstawia swoją kolejną, fenomenalną serię fantasy: POWRÓT SMOKÓW (KRÓLOWIE I CZARNOKSIĘŻNICY – CZĘŚĆ 1.) Piętnastoletnia Kyra wychowuje się w zdominowanym przez mężczyzn forcie swego ojca. Mimo że jest tam jedyną dziewczyną, jej największym marzeniem jest zostać wielkim wojownikiem. Od zawsze czuła, że jest

inna od wszystkich, dlatego pragnie zrozumieć źródło pochodzenia swych nadzwyczajnych zdolności i tajemniczej mocy. Sekret jej narodzin oraz proroctwo, które ujawniłoby jej przeznaczenie, są jednak trzymane przed nią w tajemnicy. Kiedy Kyra osiąga wiek dojrzałości, Lord Gubernator chce zabrać ją od rodziny. By temu zapobiec, ojciec planuje wydać córkę za mąż. Kyra stanowczo się temu sprzeciwia i wyrusza na samotną wyprawę do niebezpiecznego lasu, gdzie spotyka rannego smoka. Wydarzenia, które potem następują, zmieniają na zawsze bieg historii jej królestwa. Tymczasem piętnastoletni Alec poświęca swoje życie dla brata, przejmując na siebie obowiązek służby w Płomieniach, miejscu, w którym ziemia i niebo połączone są ścianą ognia – barierą, która powstrzymuje trolle przed przedostaniem się na wschód. Po drugiej stronie królestwa Merk, najemnik, który pragnie zostawić za sobą mroczną przeszłość, wyrusza na wyprawę przez las, chcąc dotrzeć do Wieży, w której znajduje się Miecz Ognia, magiczne źródło mocy królestwa. Merk chce zostać Obserwatorem, by chronić Miecz przed chciwymi łapskami trolli, które właśnie szykują się do inwazji. Powrót Smoków zabierze cię w świat rycerzy i wojowników, królów i namiestników, honoru i męstwa, magii, przeznaczenia, potworów i smoków. Pierwsza część sagi to magiczna opowieść o miłości i złamanych sercach, oszustwach, ambicji i zdradzie. To powieść fantasy w najlepszym wydaniu, która będzie żyć w tobie jeszcze długo po jej przeczytaniu, która wciągnie każdego czytelnika, bez względu na jego płeć czy też wiek. Część 2. serii Królowie i Czarnoksiężnicy zostanie opublikowana już wkrótce. Powrót Smoków to ogromny sukces – od samego początku.. Rewelacyjna powieść fantasy.. Zaczyna się tak, jak powinna – od opisu zmagani jednej bohaterki, by potem, z każdą kolejną stroną, wprowadzać nas coraz głębiej w świat rycerzy,

smoków, magii, potworów i przeznaczenia.. W tej książce znajdziesz wszystko to, co potrzebne jest dobrej fantasy, od wojowników i bitew, po konfrontację z samym sobą... Szczególnie polecana dla czytelników, którzy lubią przygody młodych, zdeterminowanych i wiarygodnych bohaterów. Midwest Book Review, D. Donovan, eBook Reviewer

Содержание

ROZDZIAŁ PIERWSZY	14
ROZDZIAŁ DRUGI	26
ROZDZIAŁ TRZECI	35
ROZDZIAŁ CZWARTY	50
ROZDZIAŁ PIĄTY	65
Конец ознакомительного фрагмента.	86

Morgan Rice

Powrót Smoków (Królowie i Czarnoksiężnicy—Część 1)

Morgan Rice

Morgan Rice jest autorką bestsellerowego cyklu fantasy **KRĄG CZARNOKSIEŻNIKA**, złożonego z siedemnastu książek; bestsellerowej serii **WAMPIRZE DZIENNIKI**, złożonej, do tej pory, z jedenastu książek; bestsellerowego cyklu thrillerów post-apokaliptycznych **THE SURVIVAL TRILOGY**, złożonego, do tej pory, z dwóch książek; oraz najnowszej serii fantasy **KRÓLOWIE I CZARNOKSIEŻNICY**. Powieści Morgan dostępne są w wersjach audio i drukowanej, w ponad 25 językach.

PRZEMIENIONA (Księga 1 cyklu *Vampire Journals*), **ARENA ONE** (Księga 1 cyklu *Survival Trilogy*), **WYPRAWA BOHATERÓW** (Księga 1 cyklu *Krąg Czarnoksiężnika*) oraz **POWRÓT SMOKÓW** (Księga 1 cyklu *Kings and Sorcerers*) dostępne są nieodpłatnie.

Morgan czeka na wiadomość od Ciebie. Odwiedź jej stronę internetową www.morganricebooks.com i dołącz do listy mailingowej, a otrzymasz bezpłatną książkę, darmowe prezenty,

darmową aplikację do pobrania i dostęp do najnowszych informacji. Dołącz do nas na Facebooku i Twitterze i pozostań z nami w kontakcie!

Wybrane recenzje powieści Morgan Rice

“Porywająca powieść fantasy, w której fabułę wplecione są elementy tajemnicy i intrygi. Wyprawa Bohaterów opowiada o odwadze i życiowej misji, której realizacja prowadzi do rozwoju, dojrzałości i doskonałości... Dla tych, którzy szukają ekscytującej opowieści fantasy, pełnej wyrazistych bohaterów, środków przekazu i akcji. Książka w piękny sposób opisuje dorastanie Thora i jego przemianę z narwanego chłopca w młodego mężczyznę, który musi stawić czoła niebezpiecznym wyzwaniom... To zaledwie początek czegoś, co zapowiada się na cykl epickiej serii dla młodzieży.”

--*Midwest Book Review (D. Donovan, eBook Reviewer)*

“KRAĞ CZARNOKSIĘŻNIKA zawiera wszystko, co niezbędne, aby odnieść natychmiastowy sukces: fabułę, zmyślenia i spiski, tajemnicę, dzielnych rycerzy, rozwijające się bujnie związki uczuciowe i złamane serca, podstęp i zdradę. Zapewni rozrywkę na wiele godzin i zadowoli czytelników w każdym wieku. Zalecana jako stała pozycja w bibliotece każdego czytelnika fantasy.”

– *Books and Movie Reviews, Roberto Mattos*

“Wciągające epickie fantasy (KRAĞ CZARNOKSIĘŻNIKA) zawiera klasyczne cechy gatunku – fabułę mocno osadzoną w realiach starożytnej Szkocji i znakomicie rozwiniętą intrygę.”

—*Kirkus Reviews*

“Bardzo podobała mi się postać Thora i świat, w którym żył. Morgan Rice wspaniale opisała jego krajobraz i żyjące w nim stworzenia... Podobała mi się [fabuła]. Była zwięzła i urocza... Nie było zbyt wielu pobocznych bohaterów, dzięki czemu łatwo można było się w nich połapać. Były przygody i wstrząsające momenty, ale przedstawiona akcja nie była zbyt groteskowa. Ta książka to idealny wybór dla nastoletnich czytelników... Nadchodzi początek czegoś niezwykłego.”

--*San Francisco Book Review*

“Jest to pierwsza część sagi fantasy „Krağ Czarnoksiężnika” (obecnie złożonej z czternastu części), w której Rice przedstawia czytelnikom losy 14-letniego Thorgrina "Thora" McLeoda, którego największym marzeniem jest dołączenie do Srebrnego Legionu, elitarnego oddziału królewskiej armii.... Pisarstwo Rice jest porządne, a przesłanie intrygujące.”

--*Publishers Weekly*

“(WYPRAWA BOHATERÓW) to szybka i lekka lektura. Każdy rozdział zakończony jest w taki sposób, że wprost musisz dowiedzieć się, co będzie dalej. W książce jest kilka

literówek i niektóre imiona są pomieszane, ale w żaden sposób nie przeszkadza to w śledzeniu historii. Zakończenie książki sprawiło, że zapragnęłam natychmiast przeczytać kolejną część i tak też zrobiłam. Wszystkie dziewięć części serii „Krag Czarnoksiężnika” są do nabycia w Kindle Store, a Wyprawa Bohaterów dostępna jest obecnie za darmo! Jeśli szukasz lekkiej i przyjemnej lektury, ta książka na pewno spełni twoje oczekiwania"

--FantasyOnline.net

Książki Morgan Rice

KINGS AND SORCERERS

POWRÓT SMOKÓW (CZEŚĆ #1)

KRAĞ CZARNOKSIEŻNIKA

WYPRAWA BOHATERÓW (CZEŚĆ 1)

MARSZ WŁADCÓW (CZEŚĆ 2)

LOS SMOKÓW (CZEŚĆ 3)

ZEW HONORU (CZEŚĆ 4)

BLASK CHWAŁY (CZEŚĆ 5)

SZARŻA WALECZNYCH (CZEŚĆ 6)

RYTUAŁ MIECZY (CZEŚĆ 7)

OFIARA BRONI (CZEŚĆ 8)

NIEBO ZAKŁĘĆ (CZEŚĆ 9)

MORZE TARCZ (CZEŚĆ 10)
ŻELAZNE RZĄDY (CZEŚĆ 11)
KRAINA OGNIĄ (CZEŚĆ 12)
RZĄDY KRÓLOWYCH (CZEŚĆ 13)
PRZYSIĘGA BRACI (CZEŚĆ 14)
SEN ŚMIERTELNIKÓW (CZEŚĆ 15)
POTYCZKI RYCERZY (CZEŚĆ 16)
ŚMIERTELNA BITWA (CZEŚĆ 17)

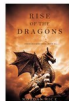
THE SURVIVAL TRILOGY

ARENA ONE: SLAVERSUNNERS (CZEŚĆ 1)
ARENA TWO (CZEŚĆ 2)

THE VAMPIRE JOURNALS

PRZEMIENIONA (CZEŚĆ 1)
KOCHANY (CZEŚĆ 2)
ZDRADZONA (CZEŚĆ 3)
PRZEZNACZONA (CZEŚĆ 4)
POŻĄDANA (CZEŚĆ 5)
ZARECZONA (CZEŚĆ 6)
ZAŚLUBIONA (CZEŚĆ 7)
ODNALEZIONA (CZEŚĆ 8)
WSKRZESZONA (CZEŚĆ 9)
UPRAGNIONA (CZEŚĆ 10)
NAZNACZONA (CZEŚĆ 11)

KINGS AND SORCERERS



THE SORCERER'S RING



THE SURVIVAL TRILOGY



the vampire journals



Copyright © 2014 Morgan Rice

Wszelkie prawa zastrzeżone. Poza wyjątkami dopuszczonymi na mocy amerykańskiej ustawy o prawie autorskim z 1976 roku, żadna część tej publikacji nie może być powielana, rozpowszechniana, ani przekazywana w jakiejkolwiek formie

lub w jakikolwiek sposób, ani przechowywana w bazie danych lub systemie wyszukiwania informacji bez wcześniejszej zgody autora.

Ten ebook jest na licencji tylko do osobistego użytku. Ten ebook nie może być odsprzedawany lub oddawany innej osobie. Jeśli chcesz podzielić się tą książką z inną osobą, należy zakupić dodatkowy egzemplarz dla każdego odbiorcy. Jeśli czytasz tę książkę, choć jej nie zakupiłeś, lub nie została ona zakupiona dla Ciebie, powinieneś ją zwrócić i kupić własną kopię. Dziękujemy za poszanowaniem ciężkiej pracy tego autora.

Książka jest dziełem fikcji. Wszystkie nazwy, postacie, miejsca i zdarzenia są wytworem wyobraźni autorki i są fikcyjne. Wszelkie podobieństwo do nazwy, właściwości rzeczywistej osoby, jest całkowicie przypadkowe i niezamierzone.

Jacket Image © Shutterstock.co



*Drogi Brutusie, są w życiu tym chwile,
W których przeznaczeń swych panem jest człowiek.
Jeśliśmy zeszli do nędznej sług roli,
To nasza tylko, nie gwiazd naszych winą*

*-- William Shakespeare
Juliusz Cezar*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Kyra stała na szczycie trawiastego pagórka, z całych sił próbując skoncentrować się na celu. Dookoła niej sypał gęsty śnieg, a pod stopami czuła twardą, zmarzniętą ziemię. Nie było jej łatwo zapomnieć o szczypiącym w policzki mrozie. Przymrużyła lekko oczy, odcinając się od reszty świata – porywistego wiatru, krakania kruka w oddali – i skupiła wzrok na cienkiej białej brzozie, przeżającej się w oddali, pośród krajobrazu purpurowych sosen. Od drzewa dzieliło ją prawie czterdzieści metrów, co czyniło ten cel niemożliwym do trafienia ani przez jej braci, ani nawet przez najlepszych ludzi jej ojca. I to właśnie sprawiało, że była jeszcze bardziej zdeterminowana – jako najmłodsza z tego grona i jako jedyna dziewczyna wśród nich.

Kyra nigdzie tak naprawdę nie pasowała. Oczywiście, jakaś część niej chciała robić to, czego się od niej oczekiwało, spędzać czas z innymi dziewczętami, uczestniczyć w życiu kulturalnym grodu; ale w głębi duszy wiedziała, że ona taka nie jest. Wrodziła się w ojca, jak on miała w sobie ducha wojownika, i za nic w świecie nie chciała być skazana na kamienne ściany swojej twierdzy, nie godziła się na życie w domowym zaciszu. Była lepszym strzelcem od każdego z nich – już w tej chwili mogła przestrzelić najlepszych łuczników swojego ojca, i zrobiłaby wszystko, by udowodnić im, a w szczególności swojemu ojcu, że zasługuje na poważne traktowanie. Ojciec ją kochał, wiedziała o

tym, nie chciał jednak dostrzec jej prawdziwej natury.

Kyra najbardziej lubiła trenować właśnie tu, daleko od fortu, na równinach Volis, w samotności. Jako jedyna dziewczyna w bastionie pełnym wojowników, zdążyła się do tego przyzwyczaić. Przychodziła tu każdego dnia, do swojego azylu, wysoko na szczycie płaskowyżu, z którego rozciągał się widok na kamienne ściany fortu. Mogła tu znaleźć odpowiednie drzewa do ćwiczeń, na tyle cienkie, by trudno je było trafić. Świst jej strzał niemal każdego dnia rozchodził się echem po całej wsi; jej strzały nie oszczędziły żadnego drzewa w okolicy, kalecząc pnie bez litości.

Kyra wiedziała, że podczas treningu łucznicy ojca często celują w myszy. Tu na równinach było ich pełno; na początku ona też tak robiła. Szybko okazało się, że trafienie w ruchomy cel nie stanowi dla niej najmniejszego problemu. Zabijanie żywych stworzeń przyprawiało ją jednak o mdłości. Choć była nieustraszona, wrażliwość nie pozwalała jej na zabijanie zwierząt, bez wyraźnego ku temu powodu. Obiecała sobie więc, że nigdy więcej nie wyceluje w żywą istotę, chyba że będzie niebezpieczna, lub zaatakuje ją. Jak wilcze nietoperze, które pojawiają się nocą i latają zdecydowanie zbyt blisko fortu. Ze strzelaniem do nich nie miała żadnego problemu, zwłaszcza po tym jak jej młodszy brat, Aidan, został ugryziony przez jednego z nich, po czym chorował przez pół księżyca. Poza tym, to były najszybciej poruszające się stworzenia na tym świecie i wiedziała, że gdyby udało się jej trafić choć

jednego z nich, szczególnie nocą, znaczyłoby to, że jest praktycznie niezwyciężona. Kiedyś spędziła całą noc przy pełni księżyca strzelając w nie z wieży ojca. O wschodzie słońca podekscytowana wybiegła na pole, i ku swojej radości ujrzała hordy zdumionych wieśniaków, tłoczących się nad ciałami kilkudziesięciu wilczych nietoperzy przeбитych strzałami.

Kyra zmusiła się teraz do skupienia. Odgrywała ten strzał w wyobraźni, obserwowała siebie podnosząc łuk, odciągając cięciwę i zwalnając ją bez chwili zawahania. Wiedziała, że najważniejsze w strzelaniu są momenty jeszcze przed faktycznym strzałem. Zbyt wielu widziała łuczników w swoim wieku, czternastolatków, ciągnących za cięciwę nierówno, zbyt nerwowo. Wiedziała, że ich strzały są stracone. Wzięła głęboki oddech, podniosła łuk i jednym zdecydowanym ruchem odciągnęła cięciwę i wypuściła strzałę. Nawet bez patrzenia wiedziała, że cel został trafiony.

Chwilę potem usłyszała trzask, lecz patrzyła już w innym kierunku. Szukała kolejnego, jeszcze bardziej ambitnego celu.

Kyra usłyszała ciche skomlenie przy nodze i spojrzała na Leo, swojego wilka, podążającego za nią jak cień. Dorosły wilk, sięgający jej prawie do pasa, był tak opiekuńczy w stosunku do Kyry, jak Kyra w stosunku do niego. Widok tych dwojga razem nikogo już w forcie nie dziwił. Gdziekolwiek szła Kyra, w ślad za nią podążał Leo. Nie odstępował jej na krok, chyba że jakaś wiewiórka lub królik pojawił się w zasięgu jego wzroku – wtedy potrafił zniknąć nawet na kilka godzin.

– Nie zapomniałam o tobie, przyjacielu – powiedziała Kyra i sięgnęła do kieszeni po kość z wczorajszej biesiady. Leo złapał ją w zęby i szczęśliwy pomaszerował dalej przy swojej pani.

Na mroźnym powietrzu oddech Kyry przemieniał się we mgłę. Przewiesiła łuk przez ramię i chuchnęła w skostniałe z zimna dłonie, próbując je nieco ogrzać. Przeszła przez szeroki płaskowyż i rozejrzała się wkoło. Z tego punktu mogła zobaczyć całą okolicę, wzgórze Volis, zwykle zielone, lecz teraz pokryte grubą warstwą śniegu, ziemie północno-wschodniej części królestwa Escalon, otaczające warownię. Z tego miejsca Kyra mogła obserwować wszystko, co działo się na ziemiach jej ojca, dostrzec każdego wieśniaka i wojownika wchodzącego i wychodzącego z fortu. To miejsce miało swój niewątpliwый urok. Lubiła przyglądać się starożytnej, kamiennej konstrukcji fortu, kształtom murów obronnych i majestatycznych wież i zabudowań, ciągnących się niemal bez końca. W całej okolicy nie było wyższych zabudowań niż w Volis. W potężny mur obronny wkomponowana była okrągła wieża, kaplica dla ludu, a dla niej miejsce, na którego szczyt mogła się wspinać, by w samotności obserwować wieś. Kamienny gród otoczony był fosą ze zwodzonym mostem i ziemnym wałem, wzdłuż którego wiodła szeroka droga, chroniona dostojnymi wzgórzami, głębokimi rowami i murami. Miejsce to było godne jednego z najważniejszych wojowników Króla- jej ojca.

Choć Volis, ostatnia twierdza przed Płomieniami, znajdowało się kilka dni drogi od Andros, stolicy Escalonu, wciąż było

domem dla wielu słynnych wojowników dawnego Króla. Było również bezpieczną przystanią, miejscem, które stało się schronieniem dla setek mieszkańców wsi i gospodarstw, którzy żyli w jego obrębie lub w pobliżu jego murów.

Kyra spojrzała w dół na dziesiątki małych domków z gliny, rozsianych wśród pagórków. Przyglądała się przygotowaniom wieśniaków do nadchodzącej zimy i do wieczornego festynu. Fakt, że mieszkańcy czuli się wystarczająco bezpiecznie, aby żyć poza murami grodu, świadczył o ogromnym szacunku, jakim darzyli jej ojca i wiary w jego potęgę. Takie zaufanie do wodza było czymś zupełnie wyjątkowym w Escalonie. W końcu wystarczył jeden dźwięk rogu, by zmobilizować całą armię podległą ojcu do natychmiastowej ochrony okolicznych mieszkańców.

Na zwodzonym moście jak zwykle widać było tłumy ludzi – rolników, szewców, rzeźników, kowali, a także wojowników – śpieszących ze wsi do fortu i w drugą stronę. Obręb murów był nie tylko domem dla ludu i miejscem treningu wojowników, był również centrum wymiany handlowej kupców z całego Królestwa. Ludzie każdego dnia rozkładali tu swoje kramy, sprzedając i wymieniając się towarami, myśliwi prezentowali zdobyte w łowach trofea, obwoźni handlarze zachęcali do zakupu egzotycznych przypraw, materiałów lub słodczy przywiezionych zza mór. Dziedzińce fortu zawsze były wypełnione jakimś egzotycznym zapachem, czy to egzotycznej herbaty, czy też warzonej strawy. Wśród tych kolorowych kramów Kyra mogła zgubić się na wiele godzin. Jej serce

przyspieszyło, gdy w oddali dostrzegła okrągły poligon, Wrota Walk, otoczony niskim murem, na terenie którego wojownicy na koniach ćwiczili się w sztuce władania laną. Tak bardzo pragnęła znaleźć się wśród nich.

W pewnej chwili Kyra usłyszała znajomy głos, dochodzący z kierunku wartowni. Odwróciła się, nasłuchując z uwagą. Tłum zawrzał, a po chwili z jego wnętrza wyłoniło się jej dwóch starszych braci, Brandon i Braxton, ciągnących za sobą Aidana, najmłodszego z ich rodziny. Kyra stanęła jak wryta. Ton głosu jej małego braciszka wskazywał wyraźnie na brak aprobaty dla poczynąń starszych braci.

Kyra przymrużyła oczy, z uwagą obserwując całe zajście. Czowała, jak narasta w niej znajomy gniew, a dłoń zaciska się na łuku coraz mocniej. Wyżsi o głowę bracia trzymali Aidana pod ramiona, wywlekając go poza mury miasta. W objęciach tych dwóch siedemnasto- i osiemnastoletnich drabów, to małe, ledwie dziesięcioletnie chuchерko, wyglądało wyjątkowo bezbrannie. Cała trójka była do siebie podobna, mieli doskonale wyrzeźbione szczęki, dumne podbródki, ciemnobrązowe oczy i brązowe falowane włosy, z tym że Brandon i Braxton mieli je krótko przycięte, podczas gdy niesforne kosmyki Aidana wciąż zawadiacko opadały mu na oczy. Ze swoimi blond włosami i jasno szarymi oczami, piętnastoletnia Kyra wyraźnie odróżniała się od reszty swojego rodzeństwa. Była wysoka i chuda, zbyt blada, jak jej mówiono, z wysokim czołem i małym nosem, obdarzona była wyjątkową urodą, która sprawiała, że mężczyźni

coraz częściej nie mogli oderwać od niej wzroku.

Wprawiało ją to w zakłopotanie. Nie lubiła zwracać na siebie uwagi, zwłaszcza że nie uważała siebie za specjalnie atrakcyjną. Dużo więcej uwagi przykładła do treningów, męstwa i honoru, niż do swojego wyglądu. Chciała być jak jej bracia, przypominać ojca, mężczyznę, którego podziwiała i kochała bardziej niż kogokolwiek na świecie. Za każdym razem, gdy patrzyła w lustro, próbowała dostrzec między nimi jakieś podobieństwa, nigdy jednak jej się to nie udało.

– Ogłuchliście?! Puśćcie mnie, powiedziałem! – Aidan darł się jak opętany, a jego głos niósł się echem po całej dolinie.

Na dźwięk rozpaczliwego zawołania swojego ukochanego braciszka, Kyra zastygła w pełnej gotowości, jak lwica doglądająca swoich młodych. Leo nastawił uszu, a sierść na jego karku zjeżyła się. Ich matka dawno już odeszła, może dlatego Kyra czuła się odpowiedzialna za Aidana. W pewnym sensie pragnęła zastąpić mu matkę, której nigdy nie miał.

Brandon i Braxton ciągnęli chłopca wzdłuż wiejskiej drogi, w kierunku lasu. Widziała, jak próbują wsadzić włócznię w jego zbyt drobne dłonie. Aidan stanowił dla nich wyjątkowo łatwy cel; Brandon i Braxton byli prawdziwymi łobuzami. Byli silni i dość odważni, choć odwaga ta wynikała raczej ze zbytnej zuchwałości niż ich faktycznych umiejętności, przez co często pakowali się w kłopoty, z których sami nie byli w stanie się wyplątać. Było to szalenie frustrujące.

Nagle Kyra zrozumiała co tam się dzieje: Brandon i Braxton

ciągnęli Aidana na jedno ze swoich nedorzecznych polowań. Przy ich pasach dostrzegła worki z winem i wiedziała już, że byli pijani. Nie dość, że chcieli zabijać bezbronną zwierzynę, to jeszcze zmuszali do tego ich młodszego brata, mimo jego usilnych protestów.

Kyra musiała ich powstrzymać. Pędem rzuciła się w ich kierunku, a przy jej boku wiernie podążał Leo.

– Jesteś już wystarczająco duży – Brandon oświadczył Aidanowi.

– Czas najwyższy byś stał się mężczyzną – zawtórował mu Braxton.

Zbiegając ze wzgórza Kyra wiedziała, że już za chwilę stanie z nimi twarzą w twarz. Wybiegła na drogę i ciężko oddychając, zatrzymała się tuż przed nimi, blokując im przejście. Leo usiadł obok niej. Trzej bracia stanęli jak wryci, zaskoczeni jej obecnością.

Na twarzy Aidana pojawiła się ulga.

– Zgubiłaś się? – zadrwił Braxton.

– Zagradzasz nam drogę – warknął Brandon – Wracaj do swoich strzałek i patyków.

Obaj roześmieli się szyderczo, a ona zmarszczyła tylko brwi, pokrzepiona groźnym warknięciem Leo.

– Zabieraj stąd tą bestię – Braxton starał się grać odważnego, a tak naprawdę ze strachu aż mocniej zacisnął dłoń na włócznie.

– A wy dokąd zabieracie Aidana? – zapytała śmiertelnie poważna.

Ich twarze nabierały coraz bardziej surowego wyglądu.

– Zabieramy go tam, gdzie nam się podoba – hardo odpowiedział Brandon.

– Idzie z nami na polowanie, by wreszcie stać się *mężczyzną* – powiedział Braxton, wyraźnie zaznaczając ostatnie słowo, jakby chciał jej dogryźć.

Ale Kyra nie pozwoliła wyprowadzić się z równowagi.

– On jest jeszcze za młody – odparła stanowczo.

Brandon skrzywił się.

– A kto tak powiedział? – zapytał.

– Ja tak mówię.

– Bo jesteś jego matką? – zakpił Braxton.

Kyra aż poczerwieniała z wściekłości. Jak nigdy dotąd chciała, by ich matka była teraz przy nich.

– Nie, ale ty też nie jesteś jego ojcem – odparła.

Zapadła martwa cisza. Aidan patrzył na nią przestraszonym wzrokiem.

– Aidan – zwróciła się do niego – Czy to jest coś, co chcesz zrobić?

Zawstydzony Aidan wbił wzrok w ziemię. Stał tam w milczeniu, unikając jej spojrzenia. Kyra wiedziała, że boi się zaprzeczyć, by nie prowokować dezaprobaty ze strony swoich starszych braci.

– No i sama widzisz – uśmiechnął się Brandon – On nie ma nic przeciwko temu.

Kyra stała tam sfrustrowana, z całych sił pragnąc by Aidan

przemówił, jednocześnie nie mogąc go do tego zmusić.

– To nierozsądne z waszej strony, by zabierać go ze sobą na polowanie – powiedziała – nadchodzi burza. Szybko zapadnie zmrok. W lesie robi się niebezpiecznie. Jeśli chcecie nauczyć go polować, zabierzcie go innego dnia, kiedy trochę podrośnie.

Widać było, że chłopcy z każdą chwilą stają się coraz bardziej podirytowani.

– A co ty wiesz o polowaniu – zapytał Braxton – Upolowałaś coś kiedyś, poza tymi swoimi drzewami?

– Może któreś z nich cię ostatnio ugryzło? – dodał złośliwie Brandon.

Chłopcy rechotali, a Kyra w środku cała buzowała, nie wiedząc co czynić. Jeśli Aidan się nie odezwie, ona nie będzie mogła tu wiele zdziałać.

– Za bardzo się martwisz, siostrzyczko – powiedział w końcu Brandon – Aidan będzie przy nas bezpieczny. Chcemy go tylko trochę zahartować, a nie zabić. Czy naprawdę myślisz, że tylko ty się o niego troszczysz?

– Poza tym, ojciec patrzy – powiedział Braxton – Chcesz go rozczarować?

Kyra natychmiast spojrzała w dal. Na wysokiej wieży, w oknie, dostrzegła sylwetkę ojca. Było jej przykro, że nie zrobił nic, by powstrzymać swych starszych synów przed tym barbarzyństwem.

Próbowali ruszyć w dalszą drogę, lecz Kyra nie ustępowała. Wyglądali, jakby chcieli przejść po niej, ale Leo stanął między

nimi i swoim warczeniem odwiódł ich od tego pomysłu.

– Aidan, jeszcze nie jest za późno – Kyra spojrzała mu prosto w oczy – Nie musisz tego robić. Chcesz wrócić ze mną do fortu?

Widziała, jak oczy zachodzą mu łzami. Zapadła długa cisza, którą przerywał jedynie szum wiatru i skrzypienie śniegu pod nogami.

Wreszcie wymamrotał.

– Chcę iść na polowanie.

Bracia natychmiast ruszyli przed siebie, spychając ją z drogi, ciągnąc za sobą Aidana. Kyra odwróciła się za nimi, patrząc w milczeniu jak odchodzą.

Z bólem serca odwróciła twarz w stronę fortu, ale jej ojca nie było już na wieży.

Kyra patrzyła, jak jej trzech braci oddala się w kierunku nadchodzącej burzy i znika w ciemnościach Cierniowego Lasu. Poczowała ucisk w żołądku. Myślała, żeby wyrwać Aidana z ich łap i odprowadzić go do domu, ale nie chciała narobić mu wstydu.

Wiedziała, że powinna pozwolić im odejść, jednak coś nie pozwalało jej tego zrobić. Wyczuwała niebezpieczeństwo, zwłaszcza w przededniu Zimowego Księżyca. Nie ufała swoim starszym braciom; wiedziała, że nie chcą skrzywdzić Aidana, ale byli zbyt lekkomyślni, zbyt dla niego surowi. Najgorsze jest to, że byli zbyt pewni swoich umiejętności. A to stanowiło bardzo niebezpieczne połączenie.

Kyra nie wytrzymała dłużej. Jeżeli ojciec nie zareagował, to ona musi to zrobić. Była na tyle dorosła, żeby nie musieć pytać

nikogo o zdanie.

Kyra ruszyła za nimi w pogoń, z Leo u swego boku, prosto w mrok Cierniowego Lasu.

ROZDZIAŁ DRUGI

Kyra zagłębiła się w mroczną gęstwinę Cierniowego Lasu. Śnieg i lód skrzypiały jej pod nogami, gdy razem z Leo powoli przedzierała się na oślep przez niekończącą się płataninę ciernistych gałęzi. Rosły tu pradawne, czarne drzewa, których poskręcane konary przypominały kształtem ciernie i grube, czarne liście. Czuła, że to miejsce jest przeklęte; stąd nigdy nie wyszło nic dobrego. Myśliwi jej ojca wracali z polowań ranni, a wiele razy zdarzyło się, że trolle, które przedarły się przez Płomienie, znajdowały tu schronienie i traktowały to miejsce, jak przyczółek do ataku na okolicznych wieśniaków.

Wchodząc do lasu, Kyra natychmiast poczuła przeszywający ją chłód. Było tu ciemno i zimno, powietrze było wilgotne, a duszący zapach ciernistych drzew i gnijącej ziemi wisiał w powietrzu. Masywne drzewa zasłaniały resztki światła dziennego. Kyra był wściekła na swoich starszych braci. Zapuszczać się tu o zmroku, zwłaszcza bez asysty kilku wojowników, było niezwykle ryzykowne. Najmniejszy szmer mógł oznaczać zbliżające się niebezpieczeństwo. W oddali usłyszała skowyt zwierzęcia i na chwilę zamarła ze strachu. Rozejrzała się w poszukiwaniu źródła dźwięku, ale las był zbyt gęsty, by mogła w nim cokolwiek dojrzeć.

Leo za to warknął złowieszczo i instynktownie ruszył w zarośla.

– Leo! – zawołała.

Ale jego już nie było.

Westchnęła rozdrażniona; zawsze tak robił, gdy tylko jakiś zwierz przebiegał im drogę. Nie zmartwiło jej to zbytnio, wiedziała, że w końcu wróci.

Starając się podążać za ledwo słyszalnym śmiechem swoich braci, Kyra wchodziła w coraz mroczniejsze gęstwiny lasu. Ostrożnie przedzierała się między ostrymi konarami, aż w końcu dostrzegła przed sobą ich rosłe sylwetki.

Chcąc pozostać niezauważoną, cofnęła się w mrok, ukrywając się w cieniu ogromnego drzewa. Wiedziała, że jeśli Aidan ją zobaczy, spali się ze wstydu i odeśle do domu. Postanowiła obserwować całą trójkę z oddali i czuwać tylko nad ich bezpieczeństwem. Chciała by Aidan zachował twarz i poczuł się jak prawdziwy mężczyzna.

Dźwięk trzaskających pod jej stopami gałęzi pozostawał niezauważony przez jej coraz bardziej pijanych braci. Dodatkowo tłumił go ich gromki śmiech. Po Aidanie wyraźnie było widać, że jest spięty, jakby zaraz miał się rozpląkać. Włócznie ścisnął mocno w swoich drobnych dłoniach, jakby chciał udowodnić przed samym sobą, że jest mężczyzną. Tak naprawdę niemalże ugiął się pod jej ciężarem.

– Chodźże tu! – krzyknął Braxton do człapiącego kilka metrów za starszymi braćmi Aidana.

– Czego ty się tak boisz? – zapytał Brandon.

– Wcale się nie boję! – stanowczo zaprzeczył Aidan.

– Cicho! – Brandon zatrzymał się nagle, wyciągając otwartą dłoń w kierunku Aidana. Jego twarz wyraźnie spoważniała. Braxton stanął koło nich, cały w gotowości.

Kyra schroniła się za drzewem, przyglądając się braciom. Stanęli na skraju polany, patrząc prosto przed siebie, jak gdyby coś tam dostrzegli.

Bezszelestnie podkraǳła się bliżej, by sprawǳić, co przykuło ich uwagę. Wtedy dostrzegła go, samotnie stojącego na polanie, wyjadającego z ziemi żołąǳie, dostojnego dzika. Ogarnęło ją przerażenie. To nie był zwykły dzik; to było prawdziwy potwór, czarnorogi dzik, największy, jakiego kiedykolwiek widziała, z długimi, białymi zawiniętymi kłami i trzema ostrymi, czarnymi rogami – jednym wystającym z ryja i dwoma ze łba. To było wyjątkowo rzadkie stworzenie, wielkie prawie jak niedźwiedź, słynące ze swojej zaciekłości i wyjątkowej szybkości. Wszyscy myśliwi w okolicy bali się tego potwora i żaden z nich nie chciał go nigdy spotkać na swojej drodze.

Szykowały się poważne kłopoty.

Dreszcz przerażenia przeszedł jej po plecach. Bardzo chciała by Leo tu był. Z drugiej strony wiedziała, że konfrontacja tych dwojga mogłaby nie skończyć się pomyślnie dla jej przyjaciela, dlatego też poczuła swoistą ulgę, że go tu nie ma. Kyra zrobiła krok do przodu i powoli zaczęła zdejmować łuk z ramienia, jednocześnie sięgając po strzałę. Wiedziała, że odległość dzieląca ją od dzika była zbyt duża. Na drodze stało zbyt wiele drzew, by można było oddać czysty strzał, a

przy zwierzęciu tych rozmiarów, trafienie musiało być w stu procentach celne. Jednocześnie miała poważne wątpliwości co do tego, czy jedna strzała może powalić takiego potwora.

Kyra spostrzegła, jak na twarzach braci rysuje się przerażenie. Już w chwili potem, wino płynące we krwi Brandona i Braxtona pozwoliło chłopcom ukryć strach pod płaszczykiem gotowości do boju. Niemal jednocześnie unieśli swoje włócznie i zrobili kilka kroków do przodu. Braxton złapał zdębiałego Aidana za ramię i pociągnął go za sobą.

– To twoja szansa by stać się mężczyzną – oświadczył Braxton – Zabij tego dzika, a wieść o twoim bohaterstwie nieść się będzie echem po całym Królestwie.

– Przynieś jego głowę, a sława twoja nigdy nie przeminie – dodał Brandon.

– Ale ja się boję – jęknął Aidan.

Brandon i Braxton parsknęli śmiechem.

– Boisz się? – zakpił Brandon – Co powiedziałby ojciec, gdyby cię teraz usłyszał?

Zaalarmowany głosami dzik uniósł głowę, odstawiając świecące, żółte ślepia i spojrzał gniewnie wprost na nich. Otworzył gębę, odstawiając ostre kły. Z jego pyska kapłała ślina a z trzewi wydobywał się wściekły ryk. Kyra, nawet bezpieczna w swoim ukryciu, poczuła ukłucie strachu. Mogła sobie tylko wyobrazić, co przeżywał w tej chwili Aidan.

Kyra nie mogła już dłużej na to patrzeć. Rzuciła się swojemu młodszemu bratu na ratunek. Kiedy była zaledwie kilka metrów

od nich, zawołała:

– Zostawcie go w spokoju!

Jej stanowczy głos przeciął ciszę, a jej bracia oniemieli z zaskoczenia.

– Już wystarczy tych żartów – dodała – Czas z tym skończyć.

Aidanowi spadł kamień z serca, podczas gdy Brandon i Braxton aż poczerwienieli ze złości.

– Czy ktoś cię pytał o zdanie? – Brandon był wyraźnie zniecierpliwiony – Przestań wreszcie wtrącać się w męskie sprawy.

Rozjuszony dzik ruszył w ich stronę. Kyra, jednocześnie przerażona i wściekła, stanęła między braćmi a Aidanem.

– Jeśli jesteście na tyle głupi, by drażnić tą bestię, to droga wolna – powiedziała – Ale Aidana zabieram ze sobą.

Brandon zmarszczył brwi.

– Aidanowi tu dobrze – odparł Brandon – To jest chwila, w której nauczy się walczyć. Prawda Aidan?

Sparaliżowany strachem Aidan stał w miejscu bez słowa.

Kyra miała już złapać chłopaka za rękę by wyprowadzić go z lasu, gdy kątem oka dostrzegła ruch na skraju polany. To dzik skradał się powoli w ich kierunku.

– Nie zaatakuj nas, jeśli będziemy spokojni – Kyra ściszyła głos – Opuśćcie sobie tym razem.

Bracia zignorowali jednak jej prośby i skierowali swoje włócznie w stronę bestii. Ruszyli naprzód, za wszelką cenę chcąc udowodnić swoją odwagę.

– Ja celuję w głowę – oświadczył Brandon.

– A ja w gardło – zawtórował Braxton.

Dzik ryknął jeszcze głośniej i zrobił kolejny krok w ich stronę.

– Wracajcie tu! – krzyknęła Kyra, zdesperowana.

Ale Brandon i Braxton byli głusi na jej wołania. Unieśli swoje włócznie i w jednym momencie rzucili je w zwierza.

Kyra obserwowała w napięciu, jak obie włócznie przecinają powietrze z cichym świstem. Ku swemu przerażeniu dostrzegła, że włócznia Brandona raniła bestię tylko niegroźne, doprowadzając ją tym samym do niebywalej wściekłości, podczas gdy włócznia Braxtona poszybowała daleko, lądując w trawie kilka metrów za zwierzem.

W tym momencie Brandon i Braxton zbledli z przerażenia. Stali tam bez ruchu z szeroko otwartymi ustami. Teraz już nawet alkohol we krwi nie był w stanie dodać im animuszu.

Rozjuszony dzik pochylił głowę, eksponując swoje imponujące rogi. Warknął przeraźliwie i ruszył do ataku.

Kyra patrzyła z przerażeniem, jak szarżuje na jej braci. To była najszybsza istota tych rozmiarów, jaką kiedykolwiek widziała. Ta potężna bestia poruszała się w trawie lekko niczym jeleni.

Brandon i Braxton rzucili się do ucieczki w przeciwnych kierunkach, pozostawiając struchlałego ze strachu Aidana na pastwę rozjuszonego zwierza. Sparaliżowany strachem, wypuścił włócznię z dłoni. To jednak było bez znaczenia; Aidan i tak nie mógłby nic zrobić, nawet gdyby próbował. Dzik, czując łatwą

zdobycz, ruszył prosto na chłopaka.

Z duszą na ramieniu, Kyra ruszyła do akcji. Wiedziała, że ma tylko jedną szansę, by ocalić brata. Trzymając łuk przed sobą, mknęła między drzewami, starając się uzyskać czysty strzał. Była przerażona. Wiedziała, że nie może sobie pozwolić na najmniejszy nawet błąd. Strzał musiał być perfekcyjny.

– AIDAN, NA ZIEMIĘ! – krzyknęła.

Chłopak jednak nie był w stanie się ruszyć. Stał tam jak kołek, skutecznie blokując jej strzał. Kyra wiedziała, że jeśli brat nie wykona polecenia, ona nie będzie w stanie nic zrobić. Nadzieja na ocalenie brata zaczęła w niej umierać.

– AIDAN! – krzyknęła raz jeszcze, zdesperowana.

Tym razem jakimś cudem posłuchał i padł na ziemię, schodząc Kyrze z linii strzału. Dziewczyna skupiła wzrok na szarżującym dziku, a czas nagle jakby zwolnił. Poczuła, jak coś się w niej zmiana, narasta w niej uczucie, jakiego dotąd nie знаła. Świat wokół niej się zatrzymał. Wyostrzyły się jej wszystkie zmysły, cała jej uwaga skupiła się wyłącznie na celu. Usłyszała odgłos bicia swojego serca, swojego oddechu, szelest liści, krakanie wrony w koronach drzew. Nigdy wcześniej nie była tak spokojna, jakby stała się jednością ze wszechświatem.

Kyra poczuła jak w jej dłonie wstępuje dziwna energia, jakby coś przejmowało kontrolę nad jej ciałem. Jakby na krótką chwilę stała się kimś większym od siebie, kimś o wiele potężniejszym.

Kyra oczyściła głowę z myśli, pozwoliła by pokierował nią instynkt i ta nowa energia, płynąca przez jej ciało. Stała prosto,

wystrzeliła łuk i wypuściła strzałę, celując w głowę stwora.

Już w chwili, gdy zwolniła cięciwę, czuła, że to był wyjątkowy strzał. Nie musiała patrzeć, by wiedzieć, że strzała leci dokładnie tam, dokąd ją posłała: w prawe oko bestii. Siła strzału powaliła dzika na zaśnieżoną ziemię. Ostatkiem sił zdołał jeszcze wstać i przejść kilka metrów dzielących go wciąż od Aidana. Zatrzymał się tuż przed chłopakiem, padając w końcu u jego stóp.

Leżał na ziemi w konwulsjach. Kyra, znowu naciągnęła łuk, stanęła nad dzikiem i w jednej chwili umieściła kolejną strzałę w tyle jego czaszki. Zwierz wydał z siebie ostatnie tchnienie.

Kyra stała na polanie w ciszy, serce waliło jej jak oszalałe, mrowienie w dłoniach powoli ustępowało, energia zanikała, a ona zastanawiała się, co tu przed chwilą zaszło. Czy to naprawdę ona wykonała ten strzał?

W tej chwili przypomniawszy sobie o Aidanie. Kiedy chwyciła go w ramiona, spojrzał na nią oczami pełnymi strachu. Poczowała ogromną ulgę, widząc, że nic mu nie jest.

Kyra odwróciła się i zobaczyła swoich dwóch starszych braci, wciąż lżących w trawach polany, patrzących na nią z podziwem i zaskoczeniem. Lecz w ich spojrzeniach było coś jeszcze, coś, co ją zaniepokoiło: podejrzliwość. Jakby była kimś obcym. To było spojrzenie, które Kyra widywała już wcześniej. Sama zaczęła się zastanawiać, czy faktycznie może być z nią coś nie tak. Odwróciła się i spojrzała na martwe zwierzę, ogromną bestię, leżącą u jej stóp. Zastanawiała się, jak ona, piętnastoletnia dziewczynka, mogła tego dokonać. Ten strzał wymagał dużo

więcej, niż tylko umiejętności i szczęścia.

Zawsze było w niej coś, co odróżniało ją od innych ludzi. Stała tam, odrętwiała, chcąc się ruszyć, ale nie mogąc. Bo tym, co wywołało w niej prawdziwy wstrząs była nie bestia, a sposób w jaki patrzyli na nią jej bracia. Jedyne pytanie, jakie w tej chwili kołatało się w jej głowie, brzmiało: kim ona była?

ROZDZIAŁ TRZECI

W drodze powrotnej do warowni, Kyra z Aidanem i Leo szli kilka kroków za starszymi braćmi, obserwując jak ci uginają się pod ciężarem dzika. Potężne cielsko martwej bestii zwisało pomiędzy nimi, przywiązane do dwóch włóczy. Ich ponury nastrój zmienił się diametralnie, gdy tylko wyszli z lasu na otwartą przestrzeń i dojrzelili w oddali fort ojca. Z każdym krokiem Brandon i Braxton stawali się coraz bardziej zuchwali. Teraz śmiali się już w niebogłosey i przekrzykiwali, próbując udowodnić sobie wzajemnie, który z nich miał większy wkład w zabicie stwora.

– To moja włócznia go raniła – przekonywał Brandon Braxtona.

– Ale – Braxton nie dawał za wygraną – to mój oszczep sprawił, że wystawił się Kyrze na strzał.

Twarz Kyry z każdym ich kłamstwem robiła się coraz bardziej czerwona; jej żałośni bracia wymyślili jakąś idiotyczną historyjkę, w którą gotowi byli sami uwierzyć. Dobrze wiedziała, że po powrocie do domu, przypiszą sobie wszystkie zasługi, opowiadając wszem i wobec jak to *oni* zabili bestię. To było nieprawdopodobne. Czuła jednak, że nic na to nie poradzi. W głębi duszy wierzyła, że prawda w końcu wyjdzie na jaw.

– Ależ z was kłamcy – powiedział wreszcie Aidan, nadal wyraźnie przejęty tym, co się stało – Dobrze wiecie, że to Kyra

zabiła tego dzika.

Brandon posłał chłopakowi drwiące spojrzenie.

– A co ty możesz wiedzieć? – zapytał Aidana – Przecież byłeś zbyt zajęty sikaniem w spodnie ze strachu.

Oboje śmiali się do rozpuku, z każdym krokiem utwierdzając się w przekonaniu o prawdziwości swojej historii.

– A wy się wcale nie baliście? – Kyra wstawiła się za Aidanem, nie mogąc znieść już dłużej ich hipokryzji.

Oboje zamilkli. Kyrze nie zależało na sławie, gotowa była pozwolić im przypisać sobie wszystkie zasługi. Musiała jednak wziąć stronę brata. Szła zadowolona z siebie, wiedząc w głębi duszy, że uratowała życie Aidanowi; taka nagroda w zupełności jej wystarczała.

Kyra poczuła drobną dłoń na swoim ramieniu. Obejrzała się i ujrzała słodki uśmiech Aidana, wyraźnie wdzięcznego za ocalenie. Kyra zastanawiała się, czy jej starsi bracia również doceniają to, co dla nich zrobiła; wszakże, gdyby nie pojawiła się na czas, ich także spotkałby marny los.

Kyra zapatrzyła się na truchło dzika, kołyszące się w rytm ich kroków i posmutniała; chciała, by jej bracia zostawili zwierzę na polanie, tam gdzie jego miejsce. To było przekłete zwierzę, nie pochodziło z Volis i nie powinno się go tutaj przynosić. Zabraną z Cierniowego Lasu, stanowił zły omen, zwłaszcza w przededniu Zimowego Księżyca. Przypomniła sobie słowa starego powiedzenia: *uniknięcie śmierci nie czyni z ciebie bohatera*. Czuła, że jej bracia niepotrzebnie kuszą

łos, przynosząc owoc ciemności do swojego domu. Nie mogła wyzbyć się uczucia, że sprowadzi to na nich wielkie nieszczęście.

Gdy wdrapali się na szczyt wzniesienia, ich oczom ukazała się potężna warownia i urzekający krajobraz wokół niej. Mimo że wiał silny wiatr i padał gęsty śnieg, na ten widok Kyra poczuła ciepło w sercu. Dym unosił się z kominów małych domków rozsianych po całej okolicy, zaś nad fortem majaczyła ciepła luna pochodni. W miarę jak zbliżali się do mostu, droga stawała się coraz szersza i bardziej zadbana. Im bliżej bram się znajdowali, tym bardziej przyśpieszali kroku, chcąc znaleźć się w domu jak najszybciej. Mimo nienajlepszej pogody i późnej pory, droga usiana była ludźmi, tłumnie zmierzającymi w stronę rozpoczynającego się wkrótce święta.

Kyra nie była tym zaskoczona. Festiwal Zimowego Księżyca był jednym z najważniejszych wydarzeń w roku, dlatego wszyscy zajęci byli przygotowaniami do świątecznych obchodów. Ogromny tłum ludzi tłoczył się na moście zwodzonym. Część z nich zostawiała fort za plecami i podążała do swych domostw, by spędzić święta z rodziną, druga zaś część dokonywała ostatnich zakupów u wędrownych handlarzy i dołączała do obchodów na terenie fortu. Woły ciągnęły ciężkie wozy wypełnione towarami, a murarze walili młotami, rozbijając kamień na kolejny mur wzmacniający konstrukcję warowni. Kyra nie potrafiła zrozumieć, jak mogą pracować przy takiej pogodzie i nie odmrozić sobie rąk.

Gdy weszli na most, Kyra, ku swojemu przerażeniu, dojrzała

stojących w pobliżu bramy Gwardzystów Lorda, żołnierzy służących pod dowództwem Lorda Gubernatora, namiestnika Pandezji na terytorium Escalon. Wyróżniali się z tłumu swymi charakterystycznymi szkarłatnymi zbrojami. Widok ten napawał ją oburzeniem. Obecność Gwardii Lorda była uciążliwa w każdej sytuacji, szczególnie jednak w święto Zimowego Księżyca, gdy z pewnością pojawili się tu, by wyłudzać od jej ludzi łapówki i ofiary. Myślała o nich jak o padlinożercach, zbirach i padlinożercach przebranych w arystokratyczne stroje, którzy dorwali się do władzy po inwazji Pandezji.

Winę za obecny stan rzeczy ponosił ich poprzedni Król, który to w chwili słabości poddał całe Królestwo. Zhańbiony lud, musiał teraz ulegać tym ciemieżcom na każdym kroku. Doprowadzało to Kyrę do wściekłości. Jej ojca i jego wspaniałych wojowników zrównano statusem ze zwykłymi chłopami. Rozpaczliwie chciała, by jej lud powstał do walki o wyzwolenie, by odważył się zrobić to, na co nie starczyło odwagi ich Królowi. Ale wiedziała też, że jeśli sprzeciwią się teraz, ściagną na siebie gniew całej armii Pandezji. A w chwili obecnej mieli niewielkie szanse na zwycięstwo.

Gdy ruszyli mostem ku bramie, na ich widok ludzie zatrzymywali się zszokowani i palcami wskazywali na dzika. Jej bracia pocili się pod jego ciężarem, dyszeli i sapali. Wojownicy i zwykli mieszkańcy odwracali się za nimi nie mogąc nadziwić się ogromnej bestii. Zauważyła również kilka podejrzliwych spojrzeń ludzi, którzy tak jak i ona zastanawiali się, czy nie jest

to aby zły omen.

Wszyscy jednak patrzyli na jej braci z podziwem.

– Zacna zdobycz! – zawołał jakiś chłop, prowadząc swego woła wzdłuż ulicy.

Brandon i Braxton promienieli dumą.

– Można by tym nakarmić pół dworu – ocenił rzeźnik.

– Jak tego dokonaliście? – zapytał rymarz.

Dwaj bracia wymienili spojrzenia, w końcu Brandon uśmiechnął się do mężczyzny.

– Odwagą i celnym okiem – odpowiedział śmiało.

– Nigdy nie wiadomo, na co natkniesz się w lesie – dodał Braxton – Czasem trzeba zaryzykować.

Ludzie zaczęli klaskać i klepać ich po plecach z uznaniem, Kyra zaś trzymała język za zębami. Ona nie szukała poklasku – i bez tego wiedziała, czego dokonała.

– To nie oni zabili tego dzika! – zawołał Aidan, oburzony.

– Zamknij się – wycodził przez zęby Brandon – Jeszcze chwila i powiem im wszystkim, że posikałeś się w spodnie ze strachu.

– Ale przecież tak wcale nie było! – protestował Aidan.

– Myślisz, że prędzej uwierzą tobie czy nam? – uśmiechnął się szelmowsko Braxton.

Brandon i Braxton roześmiali się, a Aidan spojrzał na Kyre, nie wiedząc co począć.

Pokręciła głową.

– Szkoda nerwów – powiedziała do niego – Prawda i tak wyjdzie na jaw.

Im głębiej wchodzili w tłum, tym trudniej było im przeciskać się pomiędzy stłoczonymi ludźmi. Pochodnie, oświetlające most od góry i od dołu, tworzyły wyjątkową atmosferę. W miarę zapadania zmierzchu emocje w ludziach wciąż narastały i nie mógł już ich ugasić nawet padający z nieba gęsty śnieg. Uniosła głowę, a jej serce napełniło się radością, gdy przed sobą ujrzała ogromną, kamienną bramę fortu, obstawioną z obu stron przez wojowników ojca. Na co dzień wejścia do warowni strzegła żelazna krata, na tyle masywna, by powstrzymać nawet najpotężniejszego wroga przed wtargnięciem. Teraz kratownica była otwarta, lecz wystarczył jeden dźwięk rogu, by w ciągu kilku sekund zatrzasnęła się przed najeźdźcą. Brama wysoka była na trzydzieści metrów, a nad nią, wzdłuż całej twierdzy, ciągnęła się szeroka kamienna platforma z regularnie rozstawionymi wąskimi strzelniczymi okienkami, z których łucznicy mogli czuwać nad bezpieczeństwem obywateli. Volis było wyjątkowo okazałą twierdzą, Kyra zawsze czuła dumę na myśl o niej. A tym, co napawało ją jeszcze większą dumą, byli ludzie – najlepsi wojownicy z całego Escalonu. Jej ojciec przyciągał ich jak magnes. Teraz ściągali do Volis po tym, jak rozjechali się na wszystkie strony świata po kapitulacji Króla.

Kyra i doradcy ojca wielokrotnie próbowali przekonać go, by obwołał się nowym królem, on jednak kręcił tylko głową i odpowiadał, że ten los nie jest mu pisany.

Gdy zbliżali się już do bram, kilkunastu wojowników na koniach opuszczało właśnie fort, udając się w kierunku poligonu,

otoczonego niskim, kamiennym murem. Tłumy rozstępowały się przed nimi, a serce Kyrze zabiło szybciej. Pola treningowe były jej ulubionym miejscem. Mogła całymi godzinami przyglądać się potyczkom wojowników, studiować każdy ich ruch, jak ujeżdżają konie, władają mieczami, rzucają oszczepami i zadają ciosy kiścieniem. Ci mężczyźni ruszali na ćwiczenia, mimo zapadającego zmroku i śnieżnej zamieci, nawet w przededniu ich największego święta. Pragnęli trenować, stawać się coraz lepszymi. Woleli być na polu bitwy niż świętować w zaciszu domowego ogniska – jak ona. To sprawiało, że w jej oczach byli prawdziwymi bohaterami.

Po chwili z bram wyłoniła się kolejna grupa mężczyzn. Tym razem to oni ustąpili drogi Kyrze i jej braciom, kiedy zbliżyli się z martwym dzikiem na ramionach. Wokół nich zbierali się ci rośli mężczyźni, o głowę wyżsi nawet od jej braci, większość nich z gęstymi, szpakowatymi brodami, koło czterdziestki, solidnie zaprawieni w bojach i gwizdali z podziwem na widok imponującego trofeum. To byli mężczyźni, którzy służyli dawnemu Królowi, którzy cierpieli poniżenie jego kapitulacji. Mężczyźni, którzy nigdy by sami się nie poddali. To byli ludzie, którzy widzieli dużo, nawet zbyt dużo, których nie można było już niczym zaskoczyć – niczym oprócz monstrualnego potwora z Cierniowego Lasu, przywiązany do włóczni Brandona i Braxtona.

– To wy go zabiliście? – zapytał Brandona jeden z nich, podchodząc bliżej i z uwagą przyglądając się bestii.

Thum stawał się coraz gęstszy, dlatego Brandon i Braxton musieli się w końcu zatrzymać, by przyjąć słowa podziwu dla swego męstwa.

– A jakże! – zawołał z dumą Braxton.

– Czarnorogi – dodał z admiracją inny wojownik, podchodząc bliżej i jakby z namaszczeniem gładząc grzbiet dzika – Nie widziałem takiego od czasu, kiedy byłem chłopcem. Pomogłem zabić podobnego stwora, ale byłem wtedy z grupa mężczyzn – pamiętam, że dwóch z nich straciło na tym polowaniu palce.

– Cóż, my niczego nie straciliśmy – zawołał Braxton śmiało – Poza grotem włóczni.

Mężczyźni śmiali się, szczerze obdarowując chłopaków słowami podziwu, gdy wtem nadszedł ich przywódca, Anvin, i począł przyglądać się zdobyczy z uwagą. Pozostali mężczyźni rozstąpili się dla niego z szacunkiem.

To był najwyższy dowódca. Odpowiadał wyłącznie przed ojcem Kyry, przewodził zaś wszystkim tym znakomitym wojownikom. Kyra go uwielbiała, był dla niej jak drugi ojciec. Wiedziała, że i on darzy ją uczuciem, opiekował się nią odkąd pamiętała; a co ważniejsze, zawsze miał dla niej czas. Jako jedyny pokazywał jej broń i prezentował techniki walk. Kilka razy pozwolił jej nawet trenować z mężczyznami, czym zaskarbił sobie jej dozgonną wdzięczność. Był najdzielniejszy z nich wszystkich a jednocześnie miał największe serce – przynajmniej dla tych, których lubił. Dla tych, którzy mu podpadli, był prawdziwym utrapieniem.

Anvin nie znosił kłamstwa. Był typem człowieka, dla którego zawsze najważniejsza była prawda, choćby nawet ta najbardziej bolesna. Był niezwykle spostrzegawczy, toteż kiedy oglądał dzika z bliska, jego uwagę natychmiast przykuły dwie rany po strzałach. Kyra wiedziała, że miał oko do szczegółów, dlatego jeśli ktoś miał odkryć prawdę, to właśnie on.

Anvin studiował z wielką uwagą groty strzał wciąż jeszcze tkwiące w cielsku zwierza oraz drewniane fragmenty odłamanych strzał. Bracia próbowali złamać je jak najbliżej grota, tak by nikt nie mógł dociec, co naprawdę powaliło bestię. Doświadczenie Anvina było jednak zbyt duże, by takie zagrywki mogły go zmylić.

Kyra obserwowała Anvina studiującego rany, widziała jak marszczy brwi i wiedziała już, że zaledwie minuty dzieliły go od odkrycia prawdy. W pewnej chwili zdjął rękawiczkę i sprawnym ruchem wyciągnął jeden z grotów przez oczodół dzika. Zakrwawiony kawał stali podniósł do oczu, a następnie odwrócił się do braci, obrzucając ich sceptycznym spojrzeniem.

– Grot włóchni, powiadacie? – zapytał z dezaprobatą w głosie.

Brandonowi i Braxtonowi wyraźnie zrzędyły miny. Zapadła krępująca cisza, gdy bracia patrzyli po sobie zakłopotani.

Anvin odwrócił się do Kyry.

– Czy może jednak grot strzały? – dodał jeszcze.

Kyra widziała jak powoli wszystko staje się dla niego jasne. Anvin podszedł do Kyry i wyciągnął strzałę z jej kołczanu, by porównywać ją z zakrwawionym grotem. Tak, jak przypuszczał,

były identyczne. Spojrzał na Kyre dumny, jak nigdy dotąd. Oczywiście wszystkich zebranych skupiły się teraz na dziewczynie.

– To był twój strzał, prawda? – zapytał. Chociaż brzmiało to bardziej jak stwierdzenie niż jak pytanie.

Ona skinęła głową.

– Owszem – odpowiedziała stanowczo, po cichu dziękując Anwinowi za rozpoznanie jej dokonań.

W końcu poczuła się doceniona.

– I to ten właśnie strzał powalił dzika – dodał, a jego głos brzmiał na tyle pewnie, że nie pozostawiał miejsca na polemikę.

– Poza tymi dwoma nie widzę innych ran – dodał, przejeżdżając dłonią po cielsku dzika, aż dojechał do ucha. Obejrzał je, po czym odwrócił się i spojrzał na Brandona i Braxtona pogardliwie – No chyba że to draśnięcie nazywacie raną.

Gdy odchylił ucho lekko do góry, zebrani wkoło wojownicy parsknęli śmiechem, zaś Brandon i Braxton poczerwienieli ze wstydu.

Wtem podszedł do nich inny z wojowników ojca – Vidar, bliski przyjaciel Anvina, niski, szczupły człowiek koło trzydziestki, z zapadniętą twarzą i z wyraźną blizną na nosie. Ze swoją szczupłą klatką piersiową nie wyglądał specjalnie okazale, ale Kyra wiedziała swoje: Vidar był wyciosany z kamienia, wprost stworzony do walki wręcz. Był jednym z najtwardszych mężczyzn, jakich Kyra kiedykolwiek spotkała, znanym z tego, że śmiało mógł walczyć z dwoma dużo większymi od siebie

mężczyznami i pokonać ich w mgnieniu oka. Zbyt wielu ludzi popełniało ten sam błąd i oceniając go po jego niewielkich gabarytach, prowokowało jego agresję – co często kończyło się dla nich tragicznie. On również wziął Kyre pod swoje opiekuńcze skrzydła i zawsze stawał w jej obronie.

– Wygląda na to, że ich włócznie nie dosięgnęły celu – Vidar podsumował – a ta dziewczyna uratowała im życie. Kto uczył was dwóch rzucać?

Brandon i Braxton wyglądali na coraz bardziej zdenerwowanych. Właśnie złapano ich na kłamstwie, a oni nie mieli nic na swoją obronę.

– To wyjątkowo haniebne kłamać w kwestii zdobyczy – rzekł Anvin ponuro, zwracając się do jej braci – Macie teraz ostatnią szansę powiedzieć prawdę. Wasz ojciec by tego chciał.

Brandon i Braxton stali tam wyraźnie zawstydzeni, patrząc na siebie, jakby ustalali wspólną wersję wydarzeń. Po raz pierwszy odkąd pamiętała, Kyra widziała ich onieśmielonych.

W chwili, gdy właśnie mieli wydusić z siebie słowo, z tłumu dobiegł ich jakiś głos.

– Nie ma znaczenia, kto go zabił. Teraz należy do nas.

Kyra obejrzała się, zaskoczona dźwiękiem szorstkiego, obco brzmiącego głosu. Jej serce zamarło, gdy z tłumu wyłonił się oddział Gwardii Lorda, w swych charakterystycznych szkarłatnych zbrojach. Kiedy zbliżali się do dzika, przypatrując się mu łapczywie, Kyra wiedziała już, że chcą im odebrać trofeum – nie dlatego, że go potrzebowali, lecz wyłącznie po

to, by upokorzyć jej ludzi, by pozbawić ich tego źródła dumy. Leo warknął przy jej nodze, a ona położyła dłoń na jego szyi, próbując go uspokoić.

– W imię Lorda Gubernatora – zaczął oficjalnie jeden z Gwardzistów, postawny żołnierz o niskim czole, grubych brwiach, dużym brzuchu i twarzy, na której wypisana była głupota – przejmujemy tego dzika. Pan z góry dziękuje wam za ten prezent z okazji święta Zimowego Księżyca.

Skinął na swych ludzi, a ci natychmiast ruszyli po dzika.

W tej samej chwili Anvin postąpił do przodu, Vidar u jego boku, i razem zablokowali im drogę.

Ludzie oniemieli z zaskoczenia, jeszcze nikt nigdy nie odważył się sprzeciwić Gwardii Lorda. Nikt nie chciał podsycać gniewu Pandezji.

– O ile mi wiadomo, nikt jeszcze nie zaoferował wam prezentu – powiedział, stanowczym głosem – Ani waszemu Lordowi Gubernatorowi.

Tłum gęstniał, setki wieśniaków zbierało się wokół, wyczuwając narastające napięcie, które przerodzić się miało w nieuniknioną konfrontację. Jednocześnie, część stojących bliżej gapiów cofnęła się, tworząc przestrzeń wokół mężczyzn.

Kyra poczuła, jak serce wali jej w piersi. Nieświadomie zacisnęła palce na swoim łuku, czując, że sytuacja z każdą chwilą staje się coraz bardziej niebezpieczna. Pragnęła walczyć o swoją wolność, wiedziała jednak, że jej ludzie nie mogą pozwolić sobie na podsycanie gniewu Lorda; nawet jeśli jakimś cudem

wygraliby tą potyczkę, całe Imperium Pandezji stało za nimi. Oddziały bojowe, którymi dysponowali, były rozległe jak morze.

Jednocześnie Kyra była ogromnie dumna z Anvina za to, że odważył się im przeciwstawić. Ktoś wreszcie musiał to zrobić.

Groźny wzrok żołnierzy skupiony był na Anvinie.

– Masz czelność przeciwstawić się swojemu Lordowi Gubernatorowi? – zapytał.

Anvin nie zmieniał swej bezwzględnej postawy.

– Ten dzik jest nasz, a wy nie macie do niego prawa – Anvin był nieugięty.

– On *był* wasz – poprawił go Gwardzista – A teraz należy do nas – odwrócił się do swoich ludzi – Zabrać dzika – rozkazał.

Gwardziści Lorda mieli już wykonać rozkaz, gdy kilkunastu uzbrojonych ludzi jej ojca dołączyło do Anvina i Vidara, blokując drogę ciemieżcom.

Napięcie sięgało zenitu. Kyra ścisnęła łuk tak mocno, że aż zbieleły jej kostki. Czuła, jakby to ona była odpowiedzialna za całe to zamieszanie. W końcu to ona zabiła dzika. Czuła w kościach, że wydarzy się coś bardzo złego i przeklinała swoich braci za wniesienie złego omenu do ich grodu, szczególnie w noc Zimowego Księżyca. To święto zawsze niosło ze sobą dziwne wydarzenia. Mistyczny to czas, w którym umarli mogą ponoć przechodzić z jednego świata do drugiego. Dlaczego jej bracia musieli sprowokować duchy w ten sposób?

Mężczyźni gotowi byli do starcia, ludzie jej ojca nie odrywali dłoni od rękojeści mieczy i już miało dojść do rozlewu krwi, gdy

nagle władczy głos przeciął gęste powietrze.

– Zdobycz należy do dziewczyny – zabrzmiał donośny, nieznoszący sprzeciwu głos, który Kyra podziwiała i szanowała najbardziej na świecie: głos jej ojca. Dowódcy Duncana.

Wszystkie oczy zwróciły się ku niemu, a tłumy rozstępowały się z szacunkiem, gdy ten podchodził coraz bliżej. Stał tam, człowiek potężny niczym góra, dwa razy wyższy od innych, z ramionami dwa razy szerszymi, z nieokiełznaną brązową brodą i brązowymi włosami lekko przyprószonymi siwizną, ramiona okryte miał futrami, u pasa wisiały dwa długie miecze, na plecach zaś spoczywała włócznia. Jego czarna zbroja wyrtego miała smoka – znak ich domu. Jego broń uszlachetniały liczne nacięcia i zadrapania, dające świadectwo jego odwadze i bohaterstwu. Był człowiekiem, którego zarazem się bano i którego podziwiano, człowiekiem o którym wiadano, że był uczciwy i sprawiedliwy. Człowiekiem kochanym, a przede wszystkim szanowanym.

– To zdobycz Kyry – powtórzył, a potem z dezaprobatą popatrzył na jej braci. Następnie odwrócił się i spojrzał na Kyre, ignorując zupełnie Gwardię Lorda – To ona będzie decydować o jej losie.

Słowa ojca zszokowały Kyre. Nie spodziewała się tego, nigdy nie pomyślałaby, że złoży taką odpowiedzialność w jej ręce, pozwalając decydować o tak ważnych sprawach. Ta decyzja nie dotyczyła jedynie losu dzika, oboje wiedzieli, że w tej chwili ważyły się przede wszystkim losy jej ludzi.

Wszystkie twarze zwrócone były teraz ku niej. Żołnierze w napięciu czekali na jej odpowiedź, w pełnej gotowości bojowej, z rękami spoczywającymi na mieczach. Miała świadomość tego, że wybór, którego ma dokonać, będzie najważniejszym wyborem w całym jej dotychczasowym życiu.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Merk przemierzał z wolna malownicze ścieżynki Białego Lasu, rozmyślając o swoim życiu. Miał na karku czterdzieści ciężkich lata i nigdy dotąd nie miał czasu na wędrówki po lesie i kontemplowanie piękna otaczającej go przyrody. Zachwycał się doskonałością drzew Ezopa, ich mieniącymi się w porannym słońcu białymi liśćmi i jarzącymi się czerwienią gałęziami. Liście opadały na niego jak płatki śniegu i szeleściły rozkosznie pod jego stopami. Dziś, po raz pierwszy w życiu, ogarnął go prawdziwy spokój.

Średniego wzrostu i budowy, z ciemno czarnymi włosami, zarośnięty, z szeroką szczęką i wystającymi kośćmi policzkowymi oraz dużymi, czarnymi, podkrążonymi oczami, Merk wiecznie wyglądał, jakby nie spał od wielu dni. I do tej pory tak właśnie się czuł. Ale nie teraz. Teraz był naprawdę wypoczęty. Tutaj, w Ur, w północno-zachodniej części Escalon, nie było śniegu. Znad oceanu wiała lekka bryza. Zaledwie dzień drogi na zachód przynosił cieplejsze dni i pozwalał liściom rozwinąć się. Tutaj Merk mógł swobodnie przechadzać się w samym płaszczu, bez konieczności dodatkowego okrywania się przed mroźnym wiatrem. Wciąż jeszcze nie mógł przywyknąć do noszenia płaszcza zamiast zbroi i dzierżenia kija zamiast miecza, którym przebijał liście, miast wrogów. Wszystko to było dla niego nowe. Chciał zobaczyć, jak to jest być kimś innym, kimś,

kim pragnął się stać. Uspokajało go to, a zarazem krępowało. Jak gdyby udawał kogoś, kim nie był, jakby oszukiwał samego siebie.

Merk nie był podróżnikiem ani mnichem, nie był też człowiekiem spokojnym. W jego żyłach nadal płynęła krew wojownika. I to nie byle wojownika; był człowiekiem, który walczył według własnych zasad, który nigdy nie przegrał żadnej bitwy. Nie bał się stanąć do walki ani w oficjalnym turnieju ani w ciemnym zaułku na tyłach tawerny, do której zaglądał zbyt często. Był kimś, kogo ludzie zwykli nazywać najemnikiem. Zabójcą. Psem wojny. Nosił wiele imion, wiele z nich mało pochlebnych, ale Merk nie dbał o konwenanse czy choćby o to, co myślą o nim inni ludzie. Dla niego liczyło się tylko to, że był jednym z najlepszych.

Merk nosił wiele różnych imion, zmieniał je wedle własnego kaprysu. Nie lubił imienia, które nadał mu ojciec – po prawdzie, nie lubił nawet swojego ojca – i nie zamierzał iść przez życie z imieniem, które ktoś mu narzucił. Najczęściej kazał na siebie wołać Merk – to imię póki co mu odpowiadało. Zresztą nie obchodziło go, jak inni na niego mówią. W swoim życiu dbał tylko o dwie rzeczy: o znalezienie idealnego miejsca do wbicia sztyletu i o to, by jego pracodawca słono mu za to zapłacił świeżo wybitymi złotymi monetami.

Już we wczesnych latach swojego życia Merk odkrył, że ma naturalny dar, że jest lepszy od innych w tym, co robi. Jego bracia, podobnie jak jego ojciec i wszyscy jego słynni przodkowie, byli dumnymi i walecznymi rycerzami, noszącymi

najlepsze zbroje, dzierżącymi najlepszą stal, dosiadającymi swych wiernych rumaków i wymachującymi chorągwiami oraz bujnymi czuprynami. Zwyciężali w każdym turnieju, a niewiasty rzucały im kwiaty pod nogi. Wszyscy byli równie nadęci i próżni.

Merk różnił się od nich, nienawidził przepychu i bycia w centrum uwagi. O innych rycerzach myślał, że są niezdarni w zabijaniu, wysoce nieefektywni. Merk nie darzył ich więc szacunkiem. On sam nie szukał poklasku – insygnia, chorągwie i herby były mu obojętne. To wszystko było dla ludzi, którym brakowało tego, co najważniejsze: umiejętności odebrania życia człowiekowi szybko, cicho i sprawnie. W jego umyśle nic innego nie miało wartości.

Kiedy był młody, jego przyjaciele, zbyt mali jeszcze, by bronić się przed starszymi chłopakami, przychodzili do niego po pomoc. Już wtedy wiadomo było, że Merk ma wyjątkowy dar władania mieczem, przyjmował więc od nich zapłatę za ochronę. Merk podchodził do swej pracy bardzo poważnie, dlatego prześladowcy przestawali być problemem już w kilka dni od przyjęcia zlecenia. Wieść o jego waleczności szybko się rozeszła i tak Merk zaczął przyjmować coraz więcej zleceń, a z każdym nowym zleceniem, jego umiejętności zabijania rozwijały się.

Merk mógł zostać rycerzem, osławionym wojownikiem, jak jego bracia. Zamiast tego zdecydował się pozostać w cieniu. Interesowało go zwyciężanie, śmiertelna efektywność. Szybko odkrył, że rycerze, mimo swoich wymyślnych broni i masywnych

zbroi, nie byli w stanie zabić nawet w połowie tak szybko i skutecznie jak on – samotny mężczyzna w okryciu ze skóry i z ostrym sztyletem w dłoni.

Gdy tak przechadzał się leśną drogą, przypomniawszy sobie pewną noc w tawernie, gdy doszło do zwady między nim i jego braćmi, a dużo liczniejszą grupą rycerzy. Jego bracia zostali otoczeni. W czasie jednak, gdy reszta rycerzyków odprawiała swoje idiotyczne ceremonie, Merk nie tracił czasu. Przebiegł wzdłuż równo ustawionego szyku, podrywając gardła przeciwników swoim sztyletem, zanim ci zdążyli dobyć mieczy.

Bracia powinni mu być za to podziękować, zamiast tego cała rodzina się od niego odsunęła. Bali się go i patrzyli na niego z pogardą. Tak właśnie okazali mu wdzięczność. Ta zdrada zraniła Merka do żywego. Pogłębiła się przepaść między nim a braćmi, całą szlachtą, a nawet całym rycerstwem. Ich hipokryzja i zakłamanie napawały go obrzydzeniem; mogli odejść w swych błyszczących zbrojach i patrzeć na niego z góry, ale prawda była taka, że gdyby nie on i jego sztylet, wszyscy oni byłiby dziś martwi.

Merk westchnął głęboko, próbując uwolnić się od przeszłości. Gdy tak rozmyślał, uświadomił sobie, że nie jest pewien, co tak naprawdę było jego talentem. Czy była to jego szybkość i zwinność; czy żelazne pięści, które zawsze osiągały cel; a może jego instynkt, dzięki któremu u każdego człowieka potrafił wyczuć słaby punkt; jego talentem mogło być też to, że w przeciwieństwie do innych ludzi, on nigdy nie wahał się

zadać tego decydującego ciosu, śmiertelnego pchnięcia; a może talent jego leżał w umiejętności improwizowania, umiejętności pozbawienia życia za pomocą dowolnego narzędzia – kolca, młotka, starej kłody. Był cwańszy od innych, bardziej elastyczny i miał lepszy refleks-śmiertelna to była kombinacja.

Gdy dorastał, wszyscy ci dumni rycerze oddalili się od niego, a nawet wyśmiewali go za plecami (nikt bowiem nie odważył się roześmiać mu się w twarz). Jednak teraz, kiedy wszyscy byli starsi, gdy ich siły osłabły, a jego sława wciąż rosła, to jego imię było na ustach królów, o innych zaś wieść zaginęła. Jego bracia bowiem nie rozumieli, że rycerskość nie przydawała się królom. To ohydnej, brutalnej przemocy, strachu, bezwzględного eliminowania wrogów jednego po drugim, makabrycznych zabójstw, których nikt inny nie chciał popełnić – to tego właśnie potrzebowali królowie. I dlatego zwracali się właśnie do niego, kiedy mieli *prawdziwą* robotę do wykonania.

Z każdym krokiem Merk przypominał sobie kolejną ze swoich ofiar. Zabijał największych wrogów Króla – nie trucizną – ta była dobra dla mięczaków, aptekarzy, czy uwodzicielek. Najgorsi wrogowie i zdrajcy umierać mieli na oczach ludu, najlepiej w męczarniach, innym ku przestrodze. Śmierć ich miała być makabryczna, a zbrodnia dokonana przy świadkach: sztylet wbity w oko, rozczłonkowane zwłoki porozrzucane na publicznym placu, ciało powieszone na sznurze za oknem. Ludzie mieli wiedzieć, co ich czeka, jeśli ośmielą się przeciwstawić swojemu władcy.

Kiedy Król Tarnis poddał królestwo i tym samym otworzył drzwi Pandezji, Merka po raz pierwszy w życiu ogarnęło uczucie przygnębienia, bezcelowości. Bez Króla, któremu mógłby służyć, czuł się zagubiony. Tą pustkę zaczęło wypełniać inne uczucie, uczucie, którego do końca nie rozumiał, ale które pozwoliło mu zastanowić się nad istotą życia. Do tej pory jego obsesja na punkcie śmierci, zabijania, odbierania życia, przysłaniała mu cały świat. Zabijanie stało się łatwe, zbyt łatwe. Ale teraz coś zaczęło się w nim zmieniać; to było tak, jakby tracił grunt pod nogami. Nikt nie wiedział lepiej niż on, jak kruche jest życie, jak łatwo można go pozbawić. Teraz jednak bardziej zaczęło go interesować, jak to życie można chronić. Skoro życie jest tak kruche, to czy nie większym wyzwaniem będzie ocalanie go, niż odbieranie?

I mimowolnie zaczął zastanawiać się: czego w istocie pozbawiał swoje ofiary?

Merk nie miał pojęcia, co wywołało w nim tak głęboką potrzebę autorefleksji. Jedno, co wiedział, to że było mu z tym nieswojo. Pojawiły się w nim nowe uczucia, a wraz z nimi silne przekonanie, że ma dość zabijania. Rozwinęło się w nim tak wielkie obrzydzenie do zbrodni, jak wielka była kiedyś do niej miłość. Żałował, że nie może wskazać jednej konkretnej przyczyny, jednego wydarzenia, które stworzyło go takim, jakim był. Najwyraźniej takim już się urodził. I to właśnie najbardziej go niepokoiło.

W przeciwieństwie do innych najemników, Merk przyjmował

tylko takie zlecenia, w których słusność wierzył. Dopiero w późniejszym okresie swojego życia, kiedy to stał się zbyt dobry w tym, co robił, gdy stawki stały się zbyt wysokie, gdy zlecniodawcy stali się zbyt ważni, dopiero wtedy niektóre z jego zasad przestały obowiązywać, a on zaczął przyjmować zapłatę za zabijanie ludzi, którzy nie koniecznie byli winni zarzucanych im czynów. I to właśnie nie pozwalało mu w nocy spać.

Merk z całych sił pragnął cofnąć czas, udowodnić innym, że może się zmienić. Chciał wymazać swoją przeszłość, naprawić wyrządzone krzywdy, odpokutować wszystkie grzechy. Uroczyście przysiągł sobie, że już nigdy nie zabije; nigdy nie podniesie na nikogo ręki; spędzi resztę swoich dni prosząc Boga o przebaczenie; poświęci życie by pomagać innym; by stać się lepszym człowiekiem. I to wszystko doprowadziło go tutaj, do tej leśnej drogi, usłanej śnieżnobiałymi liśćmi.

Leśna droga ciągnęła się przed Merkiem w nieskończoność. Na horyzoncie wciąż nie było widać wieży Ur, był jednak przekonany, że podąża we właściwym kierunku. Odkąd był małym chłopcem, fascynowały go opowieści o Obserwatorach, sekretnym zakonie mnichów-rycerzy, po części tworzoną przez ludzi, a po części przez coś innego, znajdującą się w dwóch wieżach – Wieży Ur na północnym-zachodzie i Wieży Kos na południu. Ich zadaniem było trzymanie pieczy nad najcenniejszym reliktem królestwa: Mieczem Ognia. Według legendy, bez Miecza Ognia, Płomienie przestałyby istnieć. To, w której wieży znajdował się Miecz, było owiane ściśle strzeżoną

tajemnicą, znaną jedynie najstarszym Obserwatorom. Legenda głosiła, że jeśli Miecz zostałby przeniesiony, bądź skradziony, Płomienie wygasną, a Ecalon zostanie narażone na śmiertelne niebezpieczeństwo.

Mówiło się też, że czuwanie nad bezpieczeństwem wież było powołaniem, świętym i honorowym obowiązkiem dla kogoś, kto został zaakceptowany przez Obserwatorów. Merk, kiedy był jeszcze małym chłopcem, codziennie przed pójściem spać wyobrażał sobie, jakby to było zostać jednym z nich. Teraz pragnął zatracić się w samotności, w służbie, w autorefleksji i wiedział, że nie ma na to lepszego sposobu, niż przyłączenie się do Obserwatorów. Merk czuł się gotowy. Zamienił swoją kolczugę na skórzaną koszulę, swój stalowy miecz na drewnianą laskę i po raz pierwszy od niepamiętnych czasów przeżył cały miesiąc nie polując ani nie zabijając nikogo. Wreszcie zaczynał czuć się szczęśliwy.

Wspinając się na szczyt kolejnego już niewielkiego wzgórza, Merk miał nadzieję, że tym razem dojrzy gdzieś na horyzoncie Wieżę Ur. Nie było tam jednak nic poza lasami, ciągnącymi się daleko jak okiem sięgnąć. Czuł jednak, że jest już blisko, po tylu dniach wędrówki, wieża nie mogła być daleko.

W miarę jak Merk schodził ze wzgórza, las stawał się coraz bardziej gęsty, a gdy znalazł się na dole, przed sobą ujrzał ogromne, ścięte drzewo, blokujące drogę. Zatrzymał się przed nim, podziwiając jego rozmiary i rozważając możliwości przedostania się na jego drugą stronę.

– Tutaj kończy się twoja wędrówka – dobiegł go złowieszczy głos.

Merk natychmiast rozpoznał złe zamiary, był przecież ekspertem w tej dziedzinie i nawet nie musiał się odwracać, by wiedzieć, co będzie dalej. Usłyszał szelest liści wokół siebie, gdy spomiędzy drzew wyłoniły się twarze pasujące do głosu: twarze rzezimieszków, desperatów, którzy gotowi byli zabić bez żadnego powodu. Twarze złodziei i morderców, polujących na bezbronnych wędrowców, rządnych krwi i złota. W oczach Merka reprezentowali wszystko, czym gardził.

Był otoczony i wiedział o tym, że znalazł się w pułapce. Ośmioro zakapiorów stanęło wokół niego, a każdy z nich trzymał w dłoni sztylet. Ubrani byli w łachmany, z brudnymi twarzami, rękami i paznokciami, wszyscy zarośnięci, patrzący na niego wygłodniałym wzrokiem, jakby nie jedli od wielu dni. I jakby byli wyjątkowo znudzeni.

Merk wzdrygnął się, gdy jeden ze złodziei podszedł bliżej, nie jednak ze strachu – mógł zabić jego i całą jego kompanię bez mrugnięcia okiem – lecz na myśl o tym, że znowu zmuszony będzie do użycia przemocy. A do tego za nic w świecie nie chciał dopuścić.

– I co my tu mamy? – zapytał jeden z nich, obchodząc Merka dookoła.

– Wygląda na mnicha – powiedział kpiąco inny – Choć buty nie pasują do kompletu.

– Może jest mnichem, który myśli, że jest żołnierzem –

zapropo nował ktoś żartobliwie.

Wszyscy parsknęli śmiechem. Wtedy jeden z nich, prawdziwy oprych po czterdziestce, z niepełnym użębieniem i cuchnącym oddechem, nachylił się do Merka i szturchnął go ramię. Stary Merk zabiłby każdego mężczyznę, który podszedłby do niego tak blisko.

Lecz nowy Merk pragnął odmienić swoje życie, stać się lepszym człowiekiem, wznieść się ponad przemoc, nawet gdy los wystawiał go na próbę. Zamknął oczy i wziął głęboki oddech, zmuszając się do zachowania spokoju.

Nie uciekaj się do przemocy, powtarzał sobie w głowie.

– Co robi ten mnich? – zapytał ktoś – Modli się?

Cała banda znowu wybuchła śmiechem.

– Twój bóg ci tu nie pomoże, chłopcze! – wykrzyknął inny.

Merk otworzył oczy i spojrzał na oprycha.

– Nie chcę cię skrzywdzić – powiedział spokojnie.

Śmiech stawał się coraz głośniejszy. Wtedy Merk pomyślał, że zachowanie spokoju, powstrzymanie się od przemocy, było najtrudniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek zrobił.

– Ależ mamy szczęście – zadrwił rabuś.

Znowu podniosły się śmiechy. Wszyscy jednak zamilkli, gdy Merk niespodziewanie dostał w twarz od przywódcy.

– Ale, być może – powiedział głosem śmiertelnie poważnym, a stał tak blisko, że Merk czuł jego śmierdzący oddech – my chcemy skrzywdzić ciebie.

Któryś ze zbirów zaszedł Merka od tyłu, owinał grube ramię

wokół jego szyi i zaczął go dusić. Merk począł gwałtownie łapać powietrze. Uścisk na szyi był na tyle mocny, by sprawić mu ból, ale nie na tyle silny, by zupełnie odciąć mu dopływ powietrza. Jego naturalnym odruchem było sięgnięcie do tyłu i skръcenie łajdakowi karku. Nie byłoby to trudne; dokładnie wiedział, gdzie złapać i co ścisnąć, żeby jednym ruchem sparaliżować człowieka. Zmusił się jednak, by tego nie robić.

Pozwól im odejść, powiedział do siebie. Droga do człowieczeństwa musi mieć gdzieś swój początek.

Merk stanął twarzą w twarz z ich przywódcą.

– Weźcie, co tylko chcecie – powiedział, dysząc – Weźcie i odejdźcie.

– A co, jeśli weźmiemy i tu zostaniemy – szef bandy odpowiedział.

– Nie tobie chłopcze decydować, co weźmiemy a czego nie – rzucił któryś.

Jeden z nich podszedł do Merka i zaczął przeczesać tobołki przytroczone do jego pasa. Merk zmusił się, by zachować spokój, gdy chciwe łapska buszowały w ostatnich osobistych rzeczach, jakie pozostały mu na tym świecie. Merk nie zareagował nawet wtedy, gdy wyciągnęli jego srebrny sztylet, jego ulubioną broń.

Odpuść im, powtarzał sobie.

– Co to jest? – zdziwił się jeden z nich – Sztylet?

Spojrzał na Merka.

– Na co takiemu dostojnemu mnichowi sztylet? – zapytał podejrzliwie.

– Co ty tym robisz, chłopcze, strugasz drewna? – zakpił inny.

Wszyscy śmiali się w niebogłósy. Merk zaś, z zaciśniętymi zębami, zastanawiał się, ile jeszcze może znieść.

Nagle uwagę człowieka, który zabrał mu sztylet, przyciągnął nadgarstek Merka. Złapał za jego rękaw i podciągnął go aż do łokcia.

– A to co? – zapytał złodziejaszek, chwytając go za rękę i przyglądając się jej uważnie.

– Wygląda jak lis – stwierdził ktoś.

– Dlaczego mnich ma tatuaż lisa?

Kolejny mężczyzna, chudy z rudymi włosami, podszedł bliżej i złapał go za nadgarstek. Przyglądał mu się uważnie przez dłuższą chwilę, po czym puścił i spojrzał na Merka.

– To nie lis, idioto – burknął – To wilk. Znak królewskiego najemnika.

Merk poczuł, jak oblewają go zimne poty. Nie chciał by go zdemaskowali.

Cała zgraja stała teraz w ciszy, przyglądając mu się z niedowierzaniem, i wtedy Merk po raz pierwszy wyczuł w nich wahanie.

– To jest znak zabójców – powiedział wreszcie któryś – Skąd go masz, chłopcze?

– Pewnie sam go sobie zrobił – rzucił ktoś – By drogę uczynić bezpieczniejszą.

Przywódca skinął, nakazując swojemu człowiekowi poluzowanie uścisku na gardle Merka. Ten mógł wreszcie

odetchnąć głęboko. Wtedy przywódca wyciągnął rękę i przystawił nóż do gardła Merka. Merk zastanawiał się, czy przyjdzie mu umrzeć tutaj, teraz, w tym miejscu. W końcu byłaby to sprawiedliwa kara za wszystkie te okropne zbrodnie, które popełnił. Nie był jednak do końca pewien, czy jest gotów na śmierć.

– Odpowiedz mu – warknął – Sam to sobie zrobiłeś, chłopcze? Mówią, że trzeba zabić setki ludzi, by zostać wyróżnionym tym znakiem.

Merk przez dłuższą chwilę zastanawiał się, co powinien powiedzieć. Wreszcie westchnął.

– *Tysiąc* – powiedział.

– Przywódca zamrugał, zdeorientowany.

– Że co? – zapytał.

– Tysiąc ludzi – Merk wyjaśnił – Za to dostaje się ten tatuaż.

Otrzymałem go od samego Króla Tarnisa.

Zapadła grobowa cisza, wszystkie spojrzenia skupiły się na nim. Był ciekawy, co się teraz wydarzy.

Po chwili jeden z nich parsknął histerycznym śmiechem, reszta poszła w jego ślady. Ryczeli ze śmiechu tak, jakby w całym swoim życiu nie usłyszeli nic zabawniejszego.

– To było dobre, chłopcze – powiedział wreszcie jeden z nich – Jesteś prawie tak dobrym kłamcą, jak mnichem.

Przywódca znowu przycisnął sztylet do jego gardła. Tym razem na tyle jednak mocno, by puścić stróżkę krwi.

– Kazałem ci odpowiedzieć – powtórzył – Odpowiedzieć

prawdę. Chcesz tu umrzeć, chłopcze?

Merk musiał bardzo poważnie zastanowić się nad odpowiedzią. Czy on chce umrzeć? To było bardzo dobre pytanie, zdecydowanie głębsze, niż mogłoby się temu rzezimieszkowi wydawać. Zaglądając w głąb swej duszy, uświadomił sobie, że część jego faktycznie chciała umierać. Był zmęczony życiem, zmęczony i zrezygnowany.

Po dłuższym jednak namyśle doszedł do wniosku, że nie był jeszcze gotowy na śmierć. Nie teraz. Nie dzisiaj. Nie kiedy chciał rozpocząć życie na nowo. Nie w momencie, gdy po raz pierwszy zaczął cieszyć się życiem. Chciał wykorzystać szansę, którą dał mu los, chciał poświęcić życie służbie w Wieży. Pragnął stać się Obserwatorem.

– Nie, nie chce jeszcze umierać – zdecydował Merk, patrząc bandziorowi prosto w oczy – Dlatego też – kontynuował – postanowiłem dać ci jedną szansę, byś mnie uwolnił, zanim zabiję was wszystkich.

Banda patrzyła na niego w niemym szoku. Już po chwili jednak Merk poczuł ostrze sztyletu powoli przecinające mu skórę na gardle. Wtedy coś w nim pękło. Nie mógł już dłużej powstrzymywać swojej prawdziwej natury, swoich odruchów, w których ćwiczył się przez całe swoje życie. To, co miało zaraz nastąpić, było równoznaczne ze złamaniem przez niego przysięgi, ale on już o to nie dbał.

Stary Merk powrócił tak szybko, jakby nigdy nie odszedł. W mgnieniu oka stał się znowu bezlitosnym zabójcą.

Merk skoncentrował się i ogarnął wzrokiem wszystkie ruchy swoich przeciwników, każdy słaby punkt, każdą kontuzję i ranę. Obudził się w nim morderczy instynkt, nieodparte pragnienie zabicia ich wszystkich.

Jednym błyskawicznym ruchem pochwycił nadgarstek szefa bandy i wykręcił go tak mocno, że aż pękły kości. Chwycił wylatujący bandycie z ręki sztylet i jednym szybkim ruchem, poderżnął mu gardło. Ten zdążył jeszcze spojrzeć na niego zdumionym wzrokiem, zanim padł martwy na mokrą od krwi ziemię.

Merk odwrócił się w stronę pozostałych. Na samą myśl o tym, co zaraz się tu wydarzy, uśmiechnął się makabrycznie.

– Niestety, chłopcy – powiedział – zdaje się, że tym razem zadarliście z niewłaściwym człowiekiem.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Kyra stała po środku zatłoczonego mostu, czując na sobie wzrok zgromadzonego wokół niej tłumu. Wszyscy czekali na jej decyzję o losie dzika. Spłonęła rumieńcem; nigdy nie lubiła być w centrum uwagi. Oczywiście, była szalenie wdzięczna ojcu, że docenił jej zasługi i dumna z tego, że zaufał jej w kwestii tak istotnej z punktu widzenia całego jej ludu.

Jednocześnie czuła ciężar spoczywającej na sobie odpowiedzialności. Choć szczerze nienawidziła Pandezjan, nie chciała doprowadzić do wybuchu wojny, której jej lud nie mógłby wygrać. Z drugiej strony, nie chciała tak po prostu wycofać się, pokłonić Gwardii Lorda, okryć hańbą swojego ludu. Zwłaszcza po tym, jak Anvin i reszta wykazali się taką odwagą.

Szybko zrozumiała, jak mądrze i sprytnie postąpił jej ojciec: już teraz decyzja o losie dzika należała do niej, nie zaś do Gwardii Lorda. A sam ten fakt ratował honor jej ludu. Zrozumiała też, że pozwolił jej zadecydować nie bez powodu: musiał wiedzieć, że sytuacja ta wymaga zewnętrznego głosu, by pomóc wszystkim stronom zachować twarz. Ona idealnie nadawała się do tego zadania. Znał ją, wiedział, że nie podejmie pochopnej decyzji, że kierować się będzie przede wszystkim rozsądkiem. Im dłużej się nad tym zastanawiała, tym bardziej była przekonana, że wybrał ją nie po to, by wywołała wojnę – to mógł w każdej chwili zrobić Anvin – lecz po to, by zapobiegła eskalacji konfliktu.

Po głębszym namyśle oznajmiła więc:

– Bestia jest przeklęta – powiedziała lekceważąco – Prawie zabiła moich braci. Przybyła z Cierniowego Lasu i została zabita w wieczór Zimowego Księżyca, czas, w którym polowania są zakazane. Błędem było przynoszenie tego potwora do naszej osady – należało go zostawić w lesie, jak najdalej od nas, by tam zgnił.

Odwróciła się hardo do Gwardzistów.

– Śmiało, zanieście go Lordowi – uśmiechnęła się szyderczo – Wyświadczycie nam tym przysługę.

Miny Gwardzistów wyraźnie zrzedły. Patrzyli zdezorientowani to na dziewczynę, to znów na bestię; wyglądali tak, jakby wbili zęby w coś zgniłego i nie byli już pewni, czy chcą kontynuować ten posiłek.

Kyra kątem oka widziała, jak Anvin i inni patrzą na nią z aprobatą i wdzięcznością – szczególnie jej ojciec. Zrobiła to – pozwoliła swoim ludziom zachować twarz, uchroniła ich przed wojną – a jednocześnie dała pstryczka w nos Pandezjanom.

Jej bracia wypuścili z rąk dzika i pokornie cofnęli się o krok. Bestia z hukiem wylądowała w śniegu.

Wszystkie oczy spoczęły teraz na Gwardzistach Lorda, którzy stali tam, nie wiedząc, co czynić. Widać było, że słowa Kyry zrobiły na nich wrażenie; patrzyli na bestię tak, jakby była czymś obrzydliwym, wyciągniętym z wnętrza ziemi. Było oczywistym, że nie chcą mieć z nią absolutnie nic wspólnego.

Dowódca, po długim, pełnym napięcia milczeniu, wreszcie

skinął na swoich ludzi, nakazując im podnieść zwierzyne, po czym odwrócił się skrzywiony, świadom tego, że został przechytzony, odmaszerował wyraźnie poirytowany.

Tłum rozszedł się, napięcie zniknęło i zastąpiło je poczucie ulgi. Odchodząc, wielu wojowników podchodziło do niej i na znak uznania, kładło jej rękę na ramieniu.

– Dobra robota – powiedział Anvin, patrząc na nią z uznaniem – Pewnego dnia zostaniesz dobrym, sprawiedliwym władcą.

Wieśniacy powrócili do swoich spraw, a razem z nimi wrócił gwar i zgiełk. Kyra odwróciła się w poszukiwaniu wzroku ojca. W obecności swoich ludzi ojciec nigdy nie był wobec niej zbyt wylewny. Tym razem nie było inaczej – z obojętnym wyrazem twarzy skinął tylko lekko głową na znak aprobaty.

Wtedy Kyra dostrzegła Anvina i Vidara przechodzących obok z włóczniami w dłoniach. Jej serce zaczęło szybciej bić.

– Czy mogę iść z wami? – zapytała Anvina, wiedząc, że szli na poligon, jak reszta ludzi ojca.

Anvin zerknął nerwowo na jej ojca, wiedząc, że nie pochwali tego pomysłu.

– Śnieg sypie coraz mocniej – Anvin najwyraźniej nie wiedział, co odpowiedzieć – I zmrok zapada.

– Was to nie powstrzymuje – nalegała Kyra.

Uśmiechnął się.

– Nie, nas to nie powstrzymuje – przyznał.

Anvin znowu spojrzał na jej ojca. Kyra odwróciła się i zobaczyła jak ten odchodzi bez słowa w stronę fortu.

Anvin westchnął.

– Szykuje się wspaniała uczta – powiedział, wdychając apetyczny zapach warzonej stawy – Lepiej idź do domu.

Kyra też to czuła. Powietrze było przesiąknięte kuszącym zapachem pieczonego mięsiwa. Jej bracia, jak i reszta mieszkańców grodu, zaczęli szykować się już do wieczery.

Ale Kyra odwróciła się i spojrzał tęsknie na pola ćwiczebne.

– Posiłek może poczekać – stwierdziła – Trening nie może. Pozwól mi dołączyć.

Vidar uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Jesteś pewna, że jesteś dziewczyną, a nie wojownikiem? – zapytał Vidar żartobliwie.

– A nie mogę być dziewczyną i wojownikiem jednocześnie? – odpowiedziała.

Anvin ciężko wypuścił powietrze i pokręcił głową.

– Twój ojciec zmyje mi za to głowę – powiedział.

Wreszcie uśmiechnął się do niej.

– Nie przyjmujesz odmowy – stwierdził – i masz więcej serca do walki niż połowa moich ludzi. Myślę, że możesz nam się przydać.

*

Kyra i Leo biegli przez śnieżny krajobraz, podążając za Anvinem, Vidarem i innymi wojownikami. Opady śniegu stawały się coraz intensywniejsze, ale ona o to nie dbała. Jak

zawsze, gdy przechodziła przez Wrota Walk i wkraczała na teren kamiennego kręgu, przepełniało ją uczucie wolności i podekscytowania. Odetchnęła głęboko i wbiegła do miejsca, które kochała najbardziej na świecie, miejsca otoczonego kamiennym murem o średnicy może trzystu metrów, miejsca teraz pokrytego śniegiem, choć zwykle porośniętego gęstą zieloną trawą. Widząc wszystkich tych mężczyzn, szarżujących na koniach, dzierżących lance, celujących do odległych punktów, czuła, że wszystko jest teraz na swoim miejscu, że tak właśnie powinno wyglądać jej życie.

Ten poligon był zarezerwowany dla wojowników jej ojca; kobiety, ani chłopcy, którzy nie osiągnęli jeszcze pełnoletności i nie otrzymali stosownego zaproszenia, nie mieli tu wstępu. Brandon i Braxton, każdego dnia czekali z niecierpliwością na swoje zaproszenie – Kyra podejrzewała jednak, że ono nigdy nie nadejdzie. Wrota Walk były zarezerwowane dla szanownych, walecznych wojowników, a nie dla pyszałków, takich jak jej bracia.

Nigdzie indziej Kyra nie czuła się równie szczęśliwa. Pole ćwiczebne wypełnione było dziesiątkami najznakomitszych wojowników ojca, którzy przybili do fortu z najbardziej nawet odległych zakątków Escalonu. Byli tu ludzie z południa, z Thebus i Leptis; z Midlandu, głównie ze stolicy, Andros, ale także z gór Kos; byli ludzie z zachodu, z Ur; z terenów nadrzecznych Thusis i sąsiadującego Esephus. Byli tu też mężczyźni, pochodzący z okolic jeziora Ire oraz znad wodospadów Everfall. Każdy z

nich dzierżył inna broń i zakuty był w zbroję charakterystyczną dla swojego regionu. I choć każdy z nich reprezentował inną warownię, wszyscy gotowi byli poświęcić swoje życie za Escalon i za jej ojca.

Jej ojciec, Szermierz dawnego Króla, człowiek wielce zasłużony i powszechnie szanowany, był w tym złamanym królestwie jedyną osobą, wokół której ludzie mogli się zjednoczyć. Gdy dawny Król poddał królestwo, to właśnie jej ojca nakłaniał lud do przejęcia władzy i podjęcia walk. Wraz z każdym nowym wojownikiem przybywającym do Volis, potęga grodu rosła, niemalże dorównując siłą stolicy. Być może to właśnie było powodem, dla którego Gwardia Lorda tak bardzo chciała ich poniżyć.

Na terenie całego Escalonu zgromadzenia rycerskie były surowo zabronione. Z obawy przed buntem, Lord Gubernator Pandezji pozbawił wojowników prawa do organizowania się. Volis rządziło się jednak innymi prawami. W interesie całego Królestwa było bowiem utrzymanie w tym miejscu jak najpotężniejszej armii, która mogłaby trzymać pieczę nad Płomieniami.

Kyra odwróciła się i hen tam na dalekim horyzoncie, za murami i białymi pagórkami, dojrzała łunę Płomieni. Ściana ognia, głęboka na pięćdziesiąt i wysoka na kilkaset metrów, chroniła wschodnią granicę Escalonu. Ciągące się przez prawie osiemdziesiąt kilometrów Płomienie, były jedyną przeszkodą, odgradzającą Escalon od krainy dzikich trolli na wschodzie.

I nawet te potężne Płomienie w wielu przypadkach okazywały się być niewystarczającą przeszkodą dla trolli, które to przedzierały się przez ścianę ognia, by siał spustoszenie w całej okolicy. Gdyby nie heroiczni Strażnicy, którzy czuwali nad Płomieniami, Escalon niechybnie stałby się niewolnikiem trolli. Szczęśliwie dla mieszkańców Escalon, trolle panicznie bały się wody, dlatego atak mogły przeprowadzać wyłącznie drogą lądową, a Płomienie były jedyną barierą, która je przed tym powstrzymywała. Strażnicy patrolowali okolice bez ustanku, dlatego Pandesia ich potrzebowała. Wprawdzie, w okolicy stacjonowały też inne oddziały – poborowych, niewolników i kryminalistów, lecz ludzie jej ojca, Strażnicy, byli jedynymi prawdziwymi wojownikami, którzy wiedzieli, jak skutecznie ochronić Płomienie.

W zamian za tą posługę, Pandesia obdarzyła Volis i jej mieszkańców pewnymi swobodami, takimi jak prawo do trenowania na poligonach i noszenia prawdziwej broni – dzięki czemu mężczyźni mogli nadal czuć się wojownikami, nawet jeśli było to tylko złudzenie. Pielęgnowali więc w sobie ducha walki i miłość do wolności, choć każdy z nich wiedział, że los jego zależy od woli Lorda Gubernatora.

Tutaj jednak, na tym poligonie, ludzie ci stawali się wolni, mogli ze sobą współzawodniczyć, trenować i rozwijać swoje umiejętności. Reprezentowali wszystko, co najlepsze w Escalonie, byli najznakomitszymi wojownikami, znacznie lepszymi od tych, których szkoliła Pandezja, a każdy z nich

gotowy był stanąć na straży Płomieni. Kyra niczego w świecie nie pragnęła bardziej, niż dołączyć do ich szeregów, i udowodnić ile jest warta. Chciała stacjonować przy Płomieniach, walczyć z prawdziwymi trollami i strzec swego Królestwa przed ich inwazją.

Wiedziała oczywiście, że to marzenie nigdy się nie spełni. Była zbyt młoda, żeby się zakwalifikować, no i była dziewczyną. Nie było żadnych innych dziewcząt w szeregach, a nawet gdyby były, jej ojciec nigdy by na to nie pozwolił.

Zacząła tu przychodzić lata temu, kiedy była jeszcze dzieckiem. Wtedy mężczyźni pozwalali jej przypatrywać się swoim treningom. Po tym, jak oni opuszczali teren ćwiczebny, ona pozostawała tam, by dniem i nocą ćwiczyć w samotności sztukę władania mieczem i strzelania z łuku. Z początku byli zaskoczeni świeżymi śladami strzał w swoich tarczach, a jeszcze bardziej wtedy, gdy znajdowały się one w samym ich środku. Z czasem jednak przywykli do tego.

Kyra powoli zdobywała ich szacunek, zwłaszcza przy tych rzadkich okazjach, gdy pozwalano jej dołączyć to treningów. Po dwóch latach wspólnych szkoleń wiedzieli już, że ta drobna dziewczyna potrafi trafić do takich celów, do których żaden z nich trafić nie potrafi. Wtedy też nabrali szacunku do jej umiejętności i determinacji. Oczywiście, nigdy nie brała udziału w bitwach, nigdy nie zabiła człowieka, nie stała na straży Płomieni, ani nie walczyła z trollem. Nie potrafiła sprawnie władać mieczem, toporem ani halabardą, nie potrafiła też się bić.

Nie była tak silna jak oni i ogromnie tego żałowała.

Kyra odkryła w sobie naturalny dar władania dwiema broniąmi: łukiem i kijem. Każda z nich czyniła ją groźnym przeciwnikiem, pomimo jej drobnej postury i płci. Strzelanie z łuku przyszło do niej naturalnie, zaś o swoim talencie do walki pałką, dowiedziała się przypadkowo, gdy wiele miesięcy temu bezskutecznie próbowała unieść miecz obusieczny. Do tej chwili pamięta, jak mężczyźni wyśmiewali jej starania, a żeby ją jeszcze bardziej poniżyć, jeden z nich rzucił w jej stronę kij.

– Zamiast miecza, może spróbuj unieść ten kijek! – krzyknął kpiąco. Kyra nigdy nie zapomniała tego upokorzenia.

Z początku, ludzie jej ojca brali tą pałkę za żart; ci dzielni mężczyźni, którzy władali mieczami obusiecznymi, toporami i halabardami, którzy mogli ściąć drzewo jednym zamachem, używali jej wyłącznie jako broni treningowej. Był on dla nich zabawką, a ona niepoważną małolată.

Ona zaś zamieniła ten żart w zaskakujące narzędzie zemsty, broń, której należało się obawiać. Broń, przed którą wielu wojowników jej ojca czuło respekt. Kyra była zaskoczona łatwością, z jaką potrafiła się nią posługiwać, oraz szybkością z jaką wyprowadzała potężne ciosy. Niejeden mężczyzna przekonał się na własnej skórze, jak bolesne mogą być jej uderzenia. I tak, potyczka po potyczce, Kyra zapracowała sobie na ich szacunek.

Kyra nie przestawała zaskakiwać wojowników nowymi uderzeniami i zamachami, które wytrwale trenowała każdej

nocy. Jej technika wzbudzała coraz większe zainteresowanie wśród mężczyzn, którzy chcieli się teraz od niej uczyć tego kunsztu. Kyra wierzyła, że jej łuk i kij uzupełniają się wzajemnie, a każda z tych broni była równie potrzebna – jej łuk w walce na odległość, zaś pałka przy bezpośrednim starciu.

Kyra odkryła w sobie też talent, jakim nie mógł się pochwalić żaden mężczyzna: niebywałą zwinność. Była jak płotka w morzu pełnym powolnych rekinów, i mimo że ci podstarzali faceci bez wątpienia dysponowali niebywałą siłą, Kyra mogła tańczyć wokół nich, wyskakiwać wysoko w powietrze, przekoziółkować przez nich i wylądować miękko za ich plecami. A to w połączeniu z jej niespotykaną techniką władania kijem, tworzyło śmiertelnie groźną kombinację.

– Co *ona* tu robi? – dobiegł skądś szorstki głos.

Kyra stała obok Anvina i Vidara, gdy za plecami usłyszała stukot kopyt. Odwróciwszy się, zobaczyła Maltrena, który wraz z kilkoma towarzyszami, zdyszany po intensywnym treningu, podążał z mieczem w ich kierunku. Gdy obrzucił ją pogardliwym spojrzeniem, poczuła nieprzyjemny ucisk w żołądku. Spośród wszystkich ludzi jej ojca, Maltren był jedynym, który jej nie lubił. Z jakiegoś powodu nienawidził jej od chwili, kiedy pierwszy raz przecięły się ich drogi.

Maltren siedział na koniu i aż płonął z nienawiści; ze swoim płaskim nosem i parszywą twarzą wyglądał na człowieka, który karmi się nienawiścią. Zawsze był przeciwny jej obecności na poligonie, prawdopodobnie dlatego, że była dziewczyną.

– Chyba powinnaś już wracać do fortu – powiedział – Razem z innymi nieporadnymi dziewczętami szykować się do obchodów święta Zimowego Księżyca.

Leo, który do tej pory siedział spokojnie przy nodze Kyry, warknął teraz na Maltrena i groźnie wyszczerzył kły. Kyra położyła dłoń na jego głowie, chcąc go uspokoić.

– I od kiedy to wpuszczamy wilki na teren poligonu? – Maltren dodał złośliwie.

Anvin i Vidar posłali Maltrenowi lodowane spojrzenie, dając Kyrze jasny znak, że ma w nich oparcie. Uspokoili ją myśl, że nie może zmusić jej do opuszczenia tego terenu.

– A może ty powinienes wrócić na poligon – odparła szyderczym głosem – zamiast niepotrzebnie zajmować się organizowaniem czasu młodej, nieporadnej dziewczyny.

Maltren poczerwieniał ze złości.

– To dzień włóczni – powiedział kąśliwie, szykując konia do odjazdu – Lepiej trzymaj się z daleka od prawdziwych mężczyzn, rzucających prawdziwą bronią.

Odwrócił się i odjechał wraz z towarzyszami. Choć jego już nie było, jego kąśliwe uwagi i negatywna energia skutecznie przyćmiły radość Kyra z bycia w tym miejscu.

Anvin spojrzał na nią pocieszającym wzrokiem i położył dłoń na jej ramieniu.

– Pierwszą rzeczą, której wojownik musi się nauczyć – powiedział – jest współpraca z ludźmi, którzy cię nienawidzą. Bez względu na to, czy ci się to podoba, czy nie, wielokrotnie

znajdziesz się w sytuacji, w której będziesz walczyła z nimi ramię w ramię, powierzając życie w ich ręce.

– A ci, którzy nie mogą walczyć, chlapią ozorem – odezwał się wesoły głos.

Kyra odwróciła się i zobaczyła szeroki uśmiech Arthfaela. Podobnie jak Anvin i Vidar, Arthfael, wysoki, odważny wojownik z łysą głową i długą, czarną brodą, miał do niej słabość. Był jednym z najlepszych szermierzy, jakich знаła i zawsze stawał po jej stronie. Czowała się dobrze w jego obecności.

– Czcze gadanie – kontynuował Arthfael – Gdyby Maltren były lepszym wojownikiem, więcej uwagi poświęcałby ćwiczeniom, niż tego typu złośliwościom.

Anvin, Vidar i Arthfael dosiedli koni i dołączyli do reszty, Kyra zaś stała tam zamyślona, przyglądając się im z daleka. Dlaczego niektórzy ludzie nienawidzą? – zastanawiała się. Nie wiedziała, czy kiedykolwiek zdoła to zrozumieć.

Kiedy mężczyźni galopem zataczali szerokie pętle wokół poligonu, Kyra z zachwytem obserwowała dostojne ruchy walecznych rumaków, marząc o chwili, kiedy i ona takiego dosiadzie. Wojownicy przechwytywali włócznie, podawane im przez giermków i po wykonaniu okrążenia, celowali nimi do tarcz zawieszonych na gałęziach drzew. Gdy trafiali, po okolicy rozniósł się głośni metaliczny dźwięk.

Wiedziała, że było to trudniejsze niż mogło się wydawać. Rzucanie do celu podczas galopu wymagało nieprzeciętnych umiejętności i wielu mężczyzn przekonywało się o tym, próbując

trafić w mniejsze tarcze. Spośród tych, którym się udało, tylko nieliczni trafili w środek – Anvin, Vidar, Arthfael najwyraźniej opanowali tę trudną sztukę. Zauważyła, że Maltren spudłował kilka razy i przeklinając pod nosem patrzył na nią złowrogo, jakby to ona była przyczyną jego niepowodzeń.

W pewnej chwili Kyrze zaczęło robić się zimno, wyciągnęła więc swoją pałkę i poczęła nim obracać w dłoniach, kręcić ponad głową i wokół ramion. Zadawała ciosy wyimaginowanym wrogom, blokowała wyimaginowane uderzenia, zmieniała ręce, obracała kij wokół szyi i talii, a robiła to tak sprawnie, jakby ćwiczyła się w tej sztuce od urodzenia.

W czasie gdy mężczyźni zataczali konno szerokie pętle, Kyra udała się na teren mniejszego pola, które w tej chwili nie było używane przez wojowników, a na terenie którego Kyra zawsze uwielbiała ćwiczyć. Z tamtejszych drzew zwisały na linach małe kawałki zbroi, które stanowiły dla niej znakomity cel. Kyra przebiegała pomiędzy nimi i wyobrażając sobie, że każdy z tych elementów, to nowy przeciwnik. Sprawnie zadawała im potężne ciosy. Chwiejące się na linach metalowe części, stanowiły dla niej zagrożenie, dlatego musiała zachować czujność, by w odpowiednim momencie uchylać się przed ich natarciem. W jej mniemaniu doskonale radziła sobie zarówno z atakiem, jak i obroną, śmiało pokonując armię wyimaginowanych wrogów.

– Zabiłaś już kogoś? – dobiegł ją szyderczy głos.

Odwróciła się i zobaczyła Maltrena przejeżdżającego na koniu, śmiejącego się szyderczo za jej plecami. Tak bardzo

chciała, by ktoś wreszcie dał mu nauczkę.

Gdy zorientowała się, że wojownicy skończyli trening z włóczniami i ustawiają się teraz na środku polany, zrobiła sobie przerwę, by na nich popatrzeć. Giermkowie podbiegali do nich i jednemu po drugim wręczali miecze treningowe wykonane z drewna dębowego, niemal tak ciężkiego, jak stal. Kyra trzymała się z boku, lecz drżała z podekscytowania, gdy mężczyźni skrzyżowali broń. Niczego nie pragnęła tak bardzo, jak do nich dołączyć.

Zanim rozpoczęli starcie, Anvin wyszedł na środek i przemówił oficjalnym tonem.

– Z okazji zbliżającego się Świąta, walczyć dziś będziemy o specjalną nagrodę – oświadczył – Zwycięzcy tego turnieju przypadną bowiem najznakomitsze kąski na biesiadnym stole!

Wzniosły się okrzyki podniecenia a już w chwilę potem wojownicy starli się w zaciętej walce.

Sparing przerywany był pojedynczymi dźwiękami rogu, które wybrzmiewały za każdym razem, gdy któryś z zawodników został pchnięty mieczem. Dźwięk ten słyhać było często, toteż już po paru minutach szeregi wojowników zaczęły się przerzedzać, a na polu bitwy zostawali już tylko najwaleczniejsi rycerze.

Cały ten wspaniały spektakl rozgrywał się zaledwie kilka metrów od niej. Serce jej rwało się do walki, lecz ona mogła tylko stać tutaj i przyglądać się wszystkiemu beczynn timer. A na dodatek dziś były jej urodziny, kończyła właśnie piętnaście lat i

czuła, że jest już gotowa. Czowała, że nadszedł czas, by wziąć los w swoje ręce.

– Pozwól mi do nich dołączyć! – zwróciła się wreszcie do Anvina błagalnym głosem.

Nie odrywając wzroku od pola bitwy, Anvin pokręcił głową.

– Dzisiaj kończę piętnaście lat – nalegała – Pozwól mi walczyć!

Spojrzał na nią z powątpiewaniem.

– To jest poligon dla mężczyzn – wtrącił Maltren, który od dłuższego czasu stał już zboku, wśród reszty pokonanych – Nie ma tu miejsca dla młodych dziewcząt. Ciesz się, że możesz siedzieć tu z giermkami, przypatrywać się, jak walczą prawdziwi mężczyźni i przynosić nam wodę, kiedy zażądamy.

Kyra poczerwieniała z wściekłości.

– Tak bardzo boisz się, że pokona cię dziewczyna? – odpysknęła mu w przypiływie złości. Chociażby ze względu na jej pochodzenie, nikt nie powinien odnosić się do niej w ten sposób.

Cześć mężczyzn, która przysłuchiwała się rozmowie, parsknęła śmiechem. Maltren prawie spalił się ze wstydu.

– Ona ma rację – przytaknął Vidar – Może powinniśmy pozwolić jej potrenować. Co mamy do stracenia?

– A niby czym miałyby walczyć? – Maltren próbował oponować.

– Moim kijem! – odparła zdecydowanie Kyra – Przeciwno twojemu drewnianemu mieczowi.

Maltren roześmiał się.

– A to dopiero byłoby widowisko – wyśmiał ją Maltren.

Wszystkie oczy zwróciły się na Anvina.

– Jeśli stanie ci się krzywda, twój ojciec mnie zabije – powiedział.

– Nic mi nie będzie – zapewniła z szelmowskim uśmieszkiem.

Trwało to dłuższą chwilę, nim w końcu podjął ostateczną decyzję.

– W takim razie nie widzę przeszkód – orzekł – Jeśli nic innego nie zamknie ci buzi. Ale tylko pod warunkiem, że inni wojownicy nie mają nic przeciwko temu – dodał, zwracając się do żołnierzy.

– TAK! – zawołało kilkunastu mężczyzn, entuzjastycznie demonstrując swoje przyzwolenie. Kyra była im za ten gest szalenie wdzięczna. Czuła, jakby darzyli ją podobną sympatią i podziwem, co jej ojca. Sama nie miała wielu przyjaciół, tym bardziej przychyłność tych mężczyzn miała dla niej niezwykłą wartość.

Maltren prychnął z pogardą.

– A niech dziewczyna robi z siebie pośmiewisko, jeśli chce – powiedział – Wreszcie dostanie porządną nauczkę.

Róg zawył kolejny raz i Kyra wybiegła na pole bitwy.

Czuła, na sobie zaskoczone spojrzenia mężczyzn, którzy z całą pewnością nie spodziewali się jej tam. Znalazła się w obliczu swojego przeciwnika, wysokiego mężczyzny o krępej budowie, koło trzydziestki, którego widziała już wcześniej w akcji. Wiedziała, że był potężnym wojownikiem, choć zbyt pewnym

siebie, uderzającym zbyt chaotycznie, trochę lekkomyślnie.

Ten zwrócił się do Anvina, marszcząc brwi.

– Co to za zniewaga? – zapytał zdeorientowany – Nie będę walczył z dziewczyną.

– Znieważasz sam siebie odmawiając walki ze mną – odpowiedziała Kyra oburzona – Podobnie jak ty mam dwie ręce i dwie nogi. Jeśli nie zechcesz ze mną walczyć, przyznasz się do porażki.

Zszokowany nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Dobrze więc – powiedział – nie biegnij tylko do tatusia na skargę!

Jak się domyślała, natarł na nią z pełną siłą, podnosząc drewniany miecz wysoko w górę i próbując wcelować w jej ramię. To był ruch, którego się spodziewała, który wielokrotnie stosował wobec swoich przeciwników, a którego nadejście wyraźnie zapowiadał jego niezdarny ruch ramion. Jego drewniany miecz był potężny, ale też ciężki i toporny w porównaniu do jej pałki.

Kyra obserwowała go w skupieniu, by w ostatniej chwili zwinnie uchylić się przed jego ciosem, przenieść kij nad swoją głowę i jednym płynnym ruchem zaatakować jego lewy bok.

Jęknął z bólu. Oszołomiony i zirytowany musiał przyznać się do porażki.

– Ktoś jeszcze? -zapytała Kyra z szerokim uśmiechem.

Większość mężczyzn uśmiechała się pogodnie, szczerze dumna z dziewczyny. Wyjątek stanowił Maltren, któremu

wyraźnie zrzędlą mina. Wyglądał, jakby już chciał ją wyzwać na pojedynek, gdy nagle przed Kyra wyrósł kolejny przeciwnik. Człowiek ten był niższy i jeszcze szerszy w barach, miał rudą zwichrowaną brodę i groźne zielone oczy. Po sposobie, w jaki trzymał miecz, mogła powiedzieć, że był ostrożniejszy od jej poprzedniego rywala. Wzięła to za komplement: w końcu zaczęli traktować ją poważnie.

Nagle mężczyzna zaatakował, a ona wiedziała już co robić. To tak, jakby obudził się w niej instynkt i przejął nad nią kontrolę. Była o wiele lżejsza i zwinniejsza od tych roślących mężczyzn, zakutych w ciężkie zbroje. Każdy z ich pragnął zademonstrować swoją siłę i oczekiwał, że przeciwnik przyjmie wyzwanie i spróbuje zablokować uderzenie. Kyra natomiast przyjęła inną technikę, odmawiając tym samym walki na ich warunkach. Zamiast więc próbować dorównać im siłą, zdobywała nad nimi przewagę dzięki swojej zwinności.

Kij w rękę Kyry zachowywał się jak przedłużenie jej ciała; obracała nim tak szybko, że przeciwnicy nie mieli czasu zareagować. Gdy oni unosili dopiero miecz do ciosu, ona już dawno była za ich plecami. Nowy przeciwnik wyprowadził pchnięcie, celując w jej klatkę piersiową. Ona uchyliła się nieznacznie, jednocześnie unosząc pałkę i jednym sprawnym cięciem w nadgarstek, wytrąciła przeciwnikowi miecz z uścisku. Następnie wykonała gwałtowny zamach i drugim końcem kija trafiła wojownika w czubek głowy.

Znowu rozległ się dźwięk rogu, ogłaszając jej zwycięstwo.

Mężczyzna trzymał się za głowę, jego miecz leżał wciąż na ziemi, a on patrzył na nią zszokowanym wzrokiem. Kyre ten dźwięk również zaskoczył, dlatego dopiero po chwili dotarło do niej, że znowu zatriumfowała.

Od tej chwili Kyra stała się przeciwnikiem, z którym każdy wojownik chciał się zmierzyć.

Podczas gdy Kyra krzyżowała broń z coraz to nowym śmiałkiem, śnieżycy z każdą chwilą przybierała na sile. Blask pochodni oświecił coraz bardziej sfrustrowane twarze mężczyzn. Do tej pory żadnemu z nich nie udało się dosięgnąć jej mieczem, wobec czego po kolei schodzili z pola bitwy pokonani. Jednego z nich załatwiła, przeskakując mu nad głową w chwili, gdy wyprowadzał pchnięcie z wypadem. Przed kolejnym wykonała skok z przewrotem, po czym przerzucając kij z jednej ręki do drugiej, niespodziewanie wyprowadziła decydujący cios z lewej strony. Wobec każdego przeciwnika stosowała inną taktykę, łączyła elementy szermierki z wyrafinowanymi akrobacjami, dzięki czemu jej ruchów nie sposób było przewidzieć. Każdy z tych dzielnych mężczyzn musiał z godnością przyjąć porażkę.

Wnet do pokonania pozostała jej zaledwie garstka ludzi. Kyra stała po środku kręgu, oddychając ciężko i rozglądając się wkoło z nadzieją na znalezienie kolejnego rywa. Anvin, Vidar i Arthfael patrzyli na nią z boku, a twarz każdego z nich rozświetlał promienny uśmiech. Żałowała, że ojciec nie może być świadkiem jej triumfu, tym bardziej cieszyła się obecnością bliskich sobie

osób.

Jednym uderzeniem w tył kolana powaliła ostatniego już przeciwnika. Rozległ się charakterystyczny dźwięk rogu, a wraz z nim na arenie pojawił Maltren.

– Dziecięce sztuczki – warknął, podchodząc do niej – Potrafisz obracać kawałkiem drewna, też mi coś. W prawdziwej walce na nic ci się to zda. Miecz w jednej chwili skróci ten twój patyk o połowę.

– Czyżby? – zapytała hardo, czując krew ojca płynącą w jej żyłach. Wiedziała, że nadszedł czas, by raz na zawsze rozprawić się z tą miernotą. Zwłaszcza teraz, gdy wzrok wszystkich tych mężczyzn skierowany był na nią.

– Może więc spróbujemy? – podpuszczała go.

Maltren wybałuszył oczy ze zdumienia, najwyraźniej nie spodziewając się, takiej odpowiedzi.

– A na cóż? – wybełkotał wreszcie – Żebyś zaraz pobiegła chronić się pod płaszczykiem tatusia?

– Nie potrzebują ochrony ani mojego ojca, ani nikogo innego – zaprotestowała – To sprawa między mną a tobą. Cokolwiek się tu wydarzy, pozostanie między nami.

Maltren spojrzał na Anvina wyraźnie skonfundowany, jakby zastawił pułapkę, w którą sam wpadł.

Anvin odpowiedział spojrzeniem równie niespokojnym.

– Do pojedynków ćwiczebnych używamy tu drewnianych mieczy – oznajmił stanowczym głosem – Nie pozwolę, żeby komukolwiek stała się krzywda na mojej zmianie, a już w

szczegółności nie córce naszego dowódcy.

Teraz mroczna strona Maltrena przyjęła jeszcze bardziej wyrazistą formę.

– Dziewczyna zapragnęła zmierzyć się w walce prawdziwą bronią – powiedział złowieszczo – Powinniśmy jej to umożliwić. Może to ją nauczy pokory.

Niewiele myśląc, Maltren przeszedł przez arenę i dobył z pochwy swego miecza. Dźwięk stali rozniósł się po okolicy.

Stając w obliczu wroga, Kyra poczuła jak poca jej się dłonie. Lodowaty wiatr jednym dmuchnięciem gasił pochodnie, a jej nagle zrobiło się przeraźliwie gorąco. Czuła, jak śnieg pod jej nogami zmienia się w lód. Zmusiła się do pełnego skupienia, wiedząc, że to nie będzie zwykła walka.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.